NRLF-1
MAIN

Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/najswietszejmary0000powi

POWIEŚCI

— o —

Najświętszej Maryi Pannie.

CHICAGO, ILLINOIS.
Czcionkami i drukiem Gazety Katolickiej, 565 Noble Street.
1895.

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

Matka Boska, ucieczka nieszczęśliwych.

Obwód Reński, tak słynny z piękności przyrody, jest przedewszystkiem, od czasów Karola Wielkiego, krajem pamiątek, malowniczych ruin i legend średniowiecznych.

Po upadku państwa rzymskiego, potężny ten monarcha, którego żelazna korona całą Europę pokryła, na wszystkich górach Germanii i Galii dźwigał obalone fortece i dawał je swym zwycięzkim towarzyszom broni, aby strzegli nowe plemiona w państwie jego osiadłe. Tak więc po obu stronach Renu każda góra miała swego hrabiego i swój zamek obronny.

Po śmierci Karola Wielkiego dumni ci kasztelani, nie uznając nad sobą władzy, ogłosili się niezależnymi, i przepędzali życie w wojennych wycieczkach, najazdach, walkach pomiędzy sobą i z postronnymi.

Jednakże religia Chrystusowa łagodziła ich dzikie obyczaje, i nie raz na głos bezbronnego kapłana, lub ubogiego pustelnika, straszliwi ci rycerze nawracali się i sprawiedliwość pokrzywdzonym wymierzali.

Pomiędzy miasteczkami Andernach i Ober-Wezel, gdzie Ren w szerokich zakrętach

majestatycznie płynie, na wysokiej górze, jakby się w kryształowych wodach przeglądały, wznoszą się malownicze ruiny zamku Wehrda, o których tameczni mieszkańcy taką historyę opowiadają:

Przy końcu XII wieku żył w tym zamku hrabia Ulrych Wehrda. Był to jeden z małej liczby nadreńskich panów, którzy na apostolskie upomnienia kapłanów serce swe otworzyli. Nawrócony w młodości, zaślubił bardzo zacną i pobożną dziewicę, która go swym wpływem na drodze cnoty utrzymała. Matylda, córka walecznego rycerza, zmarłego w służbie cesarza austryackiego, sierota od dzieciństwa, wychowaną była we wszystkich cnotach chrześciańskich. Miała ona szczególne nabożeństwo do Matki Boskiej, i do Niej się we wszystkich potrzebach udawała. To też Królowa Niebieska wspierała ją w ciężkich kolejach losu, i po srogich burzach spokój i pociechę dla niej zjednała.

Hrabia Ulrich-Wehrda miał potężnego nieprzyjaciela w osobie sąsiada swego, hrabiego Hugona—Katzenellenbogen, człowieka dzikich obyczajów, mściwego, okrutnego, który z bandą awanturników napadał na zamki i sioła, wszystko rabował i niszczył, ale szczególniej złość swą na swego sąsiada

wywierał. Bronił się, jak mógł hrabia Ulrych, lecz, ustępując przeważnej sile, zmuszony był często prosić o pokój, a mógł być lada dzień z swego zamku wygnanym lub przez najezdników zamordowanym.

Parę lat spokojnie jednakże upłynęło, co hrabia przypisywał pobożnym modlitwom swej małżonki; w tem nagle nadchodzi wiadomość, że hrabia Hugon, wróciwszy z łupami z dalekiej drogi, nową wyprawę na sąsiada gotuje.

Wnetże Ulrych zbroję przywdziewa, staje na czele swojego wojska, i nie czekając na nieprzyjaciela, śpieszy na jego spotkanie. Gdy wszystko do wyprawy wojennej przygotowano, hrabina Matylda, prowadząc za rączkę małego Alberta, szła z mężem do bramy zamkowej. Hrabia ściskał ich i błogosławił w obec swych wassalów, którzy wznosząc broń do góry przysięgali zwyciężyć lub umrzeć dla tak dobrych panów.

— Dziękuję wam, przyjaciele moi, wołał wzruszony; liczę na was! Bóg mi świadkiem, że rodzina moja, i ja tylko szczęścia waszego pragniemy... i teraz widzicie, żem gotów przelać krew moję broniąc was od napaści niegodziwych sąsiadów. Nie idziemy jak hrabia Hugon, krzywdzić i obdzierać

spokojnych ludzi, bronimy tylko naszych rodzin, naszej domowej strzechy i Bóg nam dopomoże. Hrabina Matylda, wasza pobożna pani, którą wy Aniołem Wehrdy zowiecie, będzie się modliła za was i zwycięztwo nam uprosi...

Głośne okrzyki przerwały mowę hrabiego: — Niech żyje Anioł Wehrdy! niech żyje hrabia Ulrych! — wołali poczciwi wieśniacy.

— Słyszysz droga Matyldo, mówił dalej hrabia; nie wątpię o ich wierności i w dobrej nadziei śpieszę na nieprzyjaciela. Gdyby jednak podobało się Panu Bogu doświadczyć nas, gdyby nam majętność naszą wydarto, szukaj obrony u cesarza... syna w pobożności wychowaj i módlcie się za duszę moję; abyśmy rozdzieleni na czas krótki na ziemi, w Niebie się na wieki złączyli.

Wszyscy płakali; hrabina we łzach tuliła dziecię do łona; była to rzewna i bolesna chwila... Nareszcie Ulrych dał znak do odjazdu i powierzając żonę i syna opiece starego wiernego sługi, puścił się wąwozem między górami.

II.

Długo po tem smutnem pożegnaniu głos trąbki wojennej w górach się rozlegał,

długo broń poczciwych wiarusów w blasku słońca błyszczała, aż wszystko znikło wśród dębów wehrdeńskiego lasu.

Matylda pośpieszyła do kościoła; tam, upadając do stóp ołtarzy, wylała przed Zbawicielem duszę swoję... W Sercu Jezusa zawsze dla nas otwartem czerpała ona moc i siłę na wszystkie boleści życia.

Wieczorem zeszła do parku, zbierała kwiaty, składała bukiety na ozdobę obrazu Matki Boskiej w małej kapliczce znajdującego się.

— O Matko Miłosierdzia! wołała pobożna hrabina, upadając na kolana, chociaż się boję przyszłości i cierpień, jakie na mnie spaść mogą, wszakże poddaję się woli Bożej i w Tobie, o Maryo! całą ufność moję pokładam.

Noc była śliczna, blaskiem księżyca osrebrzona; wierzby i białodrzewy okalały rzekę w szmaragdową zieloność wodnych roślin oprawną. Cisza panowała urocza, czasem tylko słowik nucił urywane strofy w gęstwinie... Matylda długo się modliła i płakała... gdy znagła usłyszała trzykrotny głos trąby... zamkowa odpowiedziała na to umówione hasło... spuszczono zwodzony

most, w kilka minut hrabia Ulrych ze zwycięzkim hufcem stanął w zamku.

— Dzięki Bogu! zawołał ściskając małżonkę i syna; nieprzyjaciele nasi dobrą dostali naukę. Hrabia Hugon spodziewając się zastać nas nieprzygotowanych, sam dowodził wyprawą. Myśmy ich zdala spostrzegli... i skoro weszli do lasu, spotkaliśmy ich tak dzielnie, że się wnet cofnęli i ze wstydem uciekli.

Nazajutrz był to dzień radosny. Po dziękczynnem nabożeństwie i odśpiewaniu Te Deum, poczciwi wieśniacy Wehrdy, z których żaden nawet nie był raniony, zebrali się na ucztę. Matylda sama ich częstowała. Wieczorem wszyscy wrócili do domów, mały oddział ochotników na straży zamku zostawując.

Gdy byli tylko sami, Matylda pytała męża, dla czego hrabia Katzenellenbogen z taką zawziętością prześladuje spokojnych mieszkańców Wehrdy, którzy mu nic złego nie zrobili.

— Ach! moja droga, rzecze Ulrych, to długa historya; opowiem ci tylko główne takowej wypadki:

Przodkowie moi posiadali na granicy czeskiej zamek Falkenburg; tamem się u-

rodził. Matka moja umarła, zostawując mię dziecięciem; ojciec zbolały po tej stracie, służąc w wojsku w tym czasie ciągłych wojen i zamieszek, nie mogąc się zająć wychowaniem syna, powierzył mnie opiece przyjaciela swego, hrabiego Molsheima, który z największą miłością kształcił mię we wszystkich naukach stanowiących wówczas wychowanie młodego rycerza.

Miałem 19 lat, gdy ogłoszono wielkie turnieje, na których się miała popisywać młodzież z całego państwa zebrana. Opiekun mój chciał, żebym brał udział w tej zabawie. Los dał mi za przeciwnika hrabiego Hugona, który, pokonany na potyczce, runął z koniem na piasku... Zwycięztwo moje hucznie obwołano, cesarz dał mi w nagrodę złoty łańcuch z krzyżem dyamentowym. Byłem szczęśliwy z tego powodzenia; ale od tego dnia również wszystkie cierpienia moje się zaczęły: bo Hugon, człowiek dumny i zawzięty, chcąc się zemścić za swe upokorzenie, z bandą awanturników napadł na zamek mojego ojca. Pośpieszyliśmy z opiekunem na ratunek jego, ale już było za późno... w krwawej bitwie ojciec mój zwyciężony, zamek zrabowany i zniszczony został...

— O Boże! cóż się stało! gdzież jest

mój ojciec? pytam opiekuna, widząc go w niemej boleści stojącego...

— Nieszczęście! Ojciec twój poległ bohaterską śmiercią, i przykład cnót swoich w dzieciństwie ci zostawił...

W tej chwili łuna pożaru błysnęła w ciemnościach... zamek Falkenberg gorzał w płomieniach, i w kilka godzin z tej starożytnej fortecy tylko dymiące zgliszcza zostały... W jednej nocy straciłem ojca i fortunę!!.

Zacny mój opiekun, hrabia Molsheim, zabrał mię z sobą, z ojcowską miłością czuwał nad sierotą, a chcąc mię niejako w smutku pocieszyć, ofiarował mi część majętności swoich.

— Jesteś przybranym synem moim, rzecze raz do mnie, powinienem los twój zapewnić. Mam w Obwodzie Reńskim zamek Wehrda; mała to posiadłość, ale wiesz; żem nie bogaty, przyjm to co ci dobrem sercem ofiaruję. Poczciwi wieśniacy, osiedleni na tej ziemi, bardzo mi są życzliwi; bądź dla nich dobrym a pozyskasz ich serca.

Takem zamieszkał na tej górze, a niespodzianym wypadkiem się zdarzyło, że cesarz za jakieś wojenne zasługi dał Hugonowi Katzenellenbogen ten zamek, który on teraz

zajmuje. Mając tedy za sąsiada największego wroga, często byłem do orężnej z nim walki zmuszony, gdy nareszcie hrabia Molsheim stanął jako pośrednik między nami i pokój zjednał. Przyrzekłem Bogu nie brać cudzej własności, ale powinienem bronić dziedzictwa syna mego, bronić od napaści i łupieztwa poddanych moich. Uczyniłem Hugonowi wszystkie możebne ustępstwa, z największą cierpliwością krzywdy jego znoszę, lecz gdy on ciągle zguby mej pragnie, ja też do ostatka bronić się muszę.

III.

Gdy hrabia Ulrych słów tych domawiał, dano znać, że Hugo zebrawszy swe wojsko, wkroczył wąwozem i przez suterny idzie na zamek.

Jednocześnie dały się słyszeć krzyki zbliżających się żołnierzy: Ulrych porwał się do broni.

— Droga Matyldo! zawołał — Bogu cię oddaję! Schroń się z dziecięciem do kaplicy, a kiedy i tam nie będziesz bezpieczną, uciekaj skrytą furtką, którą znasz pod figurą Matki Boskiej. Oto masz klucz: krętemi schodami dostaniesz się do lasu; tam czekaj na mnie... a jeżeli nie przybędę, to wiedz, żem zabity lub w niewolę wzięty... a w takim

razie Opatrzność Boska wskaże ci schronienie i czuwać będzie nad tobą!...

To mówiąc rzucił się na nieprzyjaciela... Piekielna wrzawa napełniła zamek.... Matylda upadła na kolana, wzywając miłosierdzia Bożego, a gdy gwar nie ustawał, schroniła się do kaplicy.

Hrabia Ulrych bronił się z bohaterską odwagą... lecz widząc sługi swoje poległe, oskoczony przez nieprzyjaciół, wzięty w niewolę i przed Hugonem został stawiony.

— Ha! krzyknie dziki zwycięzca, będziesz teraz dowoli rozmyślał o turniejach i o złotym łańcuchu, któryś tam dostał!

Ulrych związany na wozie, widząc swój zamek w płomieniach, modlił się i korzył przed Panem.

— Boże mój! mówił ze łzami, daj mi cierpliwość i poddanie się wyrokom Twoim!.. Łączę boleść moję z Męką i z boleściami Odkupiciela mojego... Przyjmij ją, o Panie! za grzechy moje, a miej nas wszystkich w łasce i opiece Swojej.

Ta pokorna modlitwa ulżyła mu nieco boleści i usnął na wozie. Matylda skryła się przed poszukiwaniem napastników; mężna w nieszczęściu, nie upadła na duchu ...a gdy ujrzała pałac w płomieniach, podziemną kry-

jówką dostała się do lasu. O! jakaż boleść serce jej ścisnęła!.. Za sobą widziała zamek jak wulkan gorejący... przed sobą wygnanie i nędzę.. Na domiar nieszczęścia nie mogła wziąść pieniędzy na swoje i dziecięcia potrzeby; nie można było znaleźć przytułku w okolicy wojną spustoszonej; trzeba więc było iść na oślep przez góry i lasy... dzikiemi owocami się żywić... Dziecię z głodu i znużenia płakało, biedna matka wzięła je na ręce.

— O Boże! zawołała z boleścią, daj nam przynajmniej znaleźć jaką wieśniaczą chatę, gdzieby nam nie odmówili kawałka chleba i garści słomy na spoczynek!..

IV.

Zamek hrabiego Hugona był ponurą i straszną fortecą, najeżoną basztami, otoczoną wiekowym lasem, nieprzystępnym jak góry, na których się dęby wspinały. U podnoża zamku wody Renu rozbijały swe szumiące bałwany, pokrywając białą pianą mchem porosłe skały. Miejsce z natury tak obronne, nie mogło być zdobyte żadnymi wówczas znanymi sposobami oblężenia.

Hugo, pomimo dzikich obyczajów, miał dobrą i cnotliwą małżonkę. Emma Katzenel-

lenbogen, poznawszy ledwo po ślubie srogi i okrutny charakter swego męża, gorzko los swój opłakiwała. Z początku starała się wpłynąć na niego, błagając ze łzami, żeby zaniechał zdzierstwa, rozbojów, tak poniżających szlachetnego rycerza; żeby pracował nad uszczęśliwieniem poddanych swoich... Hrabia czasami zdawał się te uwagi przyjmować, ale najczęściej na jej prośby odpowiedział bluźnierstwem; a potem wsiadłszy na koń pędził po górach i lasach, aż nareszcie u którego z sąsiadów w pijaństwie ostatni krzyk sumienia utopił.

Biedna Emma widząc, że wszystkie przedstawienia daremne były, milczała, tylko się gorąco modliła, żeby Pan Bóg serce jego odmienił.

W więzieniu zamkowem jęczało wiele ofiar dumy i chciwości Hugona. Emma nieraz za nimi się wstawiała, lecz losu ich złagodzić nie mogła.

Życie takie byłoby nieznośnem dla biednej kobiety, ale na szczęście hrabia po kilka miesięcy w domu nie bywał; wtedy małżonka jego używała nieco swobody, odwiedzała swych poddanych, którzy ją niezmiernie kochali. Jedyną towarzyszką Emmy była jej córka Gizela, dobre i pobożne dziecię:

ale dwunastoletnia dzieweczka nie rozumiała jeszcze wszystkich cierpień swej matki; często z nią płakała nie wiedząc przyczyny jej zmartwienia, bo Emma nie chcąc dać córce złego wyobrażenia o ojcu, ukrywała przed nią wiele okropnych scen, które z tego zamku istne piekło czyniły.

Obie smutne siedziały z robotą w swoim pokoju, gdy żołdactwo Hugona, złupiwszy i spaliwszy Wehrda, z wielkim hałasem do fortecy wróciło; i sam hrabia, rzucając za sobą ostatnie rozkazy, rychło się na sali ukazał. Powrót jego do domu dla nikogo nie był radosnym. Nigdy on nie miał dobrego słowa dla swej rodziny; z żoną i córką rzadko kiedy rozmawiał: tego jednak wieczora zwycięztwo rozpędziło chmury jego dzikiego oblicza, bo kazawszy podać ogromny puhar reńskiego wina:

— Zdrowie wasze zacne panie! krzyknął piorunującym głosem. Dobry dzień dziś mamy, wsadziłem do klatki arcy-potężnego hrabiego Wehrda!!!

To mówiąc wychylił czarę, potem drugą i trzecią.... nareszcie krwią i winem upojony, w swoim fotelu zasnął.

Małżonka jego, zgrozą przejęta, upadła na kolana:

— Boże mój! zawołała z boleścią, Ty wiesz, żeśmy tej zbrodni niewinne! Przyjmij łzy i błagania nasze.... wstrzymaj miecz pomsty nad tą występną głową.... daj grzesznikowi czas do pokuty....

V.

Matylda długo idąc nieznaną drogą, strudzona, przyszła z małym Albertem na wysokie wzgórze, z którego na obwód Reński wspaniały roztoczył się widok. Dziecię z głodu i pragnienia płakało, matka cierpienie syna podzielała:

— Biedne dziecię! mówiła wzdychając, o jakże łzy twoje serce mi rozdzierają; Boże, zmiłuj się nad nami! daj nam przytułek, żebyśmy z nędzy nie zginęli!

Gdy się tak modliła i płakała, młoda wieśniaczka, idąca drogą z koszykiem na głowie, przed nią stanęła.

Bardzoś zmęczona, moja pani, rzecze uprzejmie do niej; już późno i przed nocą nie zajdziecie do wioski, u stóp tej góry leżącej.

— Moje dziecię, odpowie hrabina — nie wiemy dokąd idziemy. Jestem biedna wygnanka, nieznana w tych stronach, ledwo z jałmużny możemy dostać trochę chleba na wyżywienie nasze. Ja mogłabym iść trochę

dalej, ale syn mój nie może, bo cały dzień dziś nic w ustach nie miał....

— Ach! biedactwo! zawołała dziewczka; dziękuję Bogu, że mię do was przysłał... Mam tu dosyć wszystkiego, możecie się oboje posilić.

To mówiąc wyjęła z koszyka chleba, masła, sera, wędliny i podróżnym podała. Nalała potem do kubka mleka, żeby się napiły.

— Nie mogę was tak na drodze zostawić, rzecze nareszcie do Matyldy; kiedy nie macie przytułku, pójdźcie ze mną do wioski, rodzice moi nie są bogaci, ale tem, co im Pan Bóg dał, chętnie się z biednymi dzielą. Pójdź ze mną droga pani, będziesz tu z miłością przyjęta; pod naszą strzechą rodzinę twą znajdziesz.

— Niech cię Bóg błogosławi! miła dzieweczko, odpowie hrabina Wehrda; tyś mi obrazem Opatrzności.... Pan Bóg nagrodzi dobre serce twoje. Ale czyś pewna, że rodzice twoi chętnie nas przyjmą.

— Ach! pani! żeby mój ojciec wiedział, żeś tak opuszczona i smutna, samby tu przyszedł i prosił, żebyś w jego domu gościnność przyjęła. We wsi naszej wiele serc litościwych znajdziesz.

Matylda, pełna wdzięczności powstała, wzięła dziecię na ręce, i zstępując po pochyłości góry bez utrudzenia, rychło do wioski przybyła.

— Oto i dom mego ojca, zawołała dzieweczka, wskazując na wiejską chatę ocienioną lipami, z pięknie uprawnym ogrodem.

— Drogie dziecię! rzecze Matylda, idź uprzedzić twoich rodziców; nie wypada, żebyśmy bez ich zezwolenia pod dach ich weszli.

Dzieweczka pobiegła, — a wnetże drzwi się otworzyły, i sędziwy wieśniak a za nim jego żona, oboje z wyrazem dziwnej słodyczy i dobroci, zwolna z chatki wyszli.

— Witajcie nam, kochana pani, rzecze poczciwy Bertram, odkrywając siwą głowę. To trochę, czem nas Pan Bóg obdarzył, do ubogich i cierpiących należy. Błogosławiony podróżny, który w ubogim domku naszym gościnność przyjmie!

Matylda, taką uprzejmością wzruszona uczciła wysoką pobożność tej zacnej rodziny.

— Niech Bóg błogosławi waszą córkę, odpowiedziała ze łzami w oczach; żeby nie ona możebym tej nocy z dziecięciem z głodu umarła. Niczem nie mogę wam okazać wdzię-

czności mojej, ale Bóg sam wypłaci ten dług serca mego.

Stary Bertram wprowadził nieznajomą do swego domu, żona jego, Berta, ustąpiła dla Matyldy swej izdebki, a mały Albert oddany był w opiekę dobrej dzieweczki Lizy, która go jak braciszka swego piastowała. Po wieczerzy Bertram, wspólnie odmawiając wieczorne modlitwy, dziękował Bogu, że mu obowiązek chrześcijańskiej miłości względem bliźniego tego dnia spełnić dozwolił.

Nazajutrz o świcie, Matylda jakimś szmerem ze snu zbudzona, ujrzała żonę Bertrama w świątecznem ubraniu do izdebki wchodzącą.

— Pani! rzecze do niej z miłym uśmiechem; dziś obchodzimy święto naszego Patrona, radzibyśmy, żebyś ten dzień z nami przepędziła.

— Bardzo chętnie — odpowie hrabina — ale wybaczcie, że nie mogę radości waszej podzielać.... tylem już w życiu cierpiała.... i tyle jeszcze cierpieć muszę!....

Zdziwiła się wieśniaczka, słysząc te słowa. Szlachetna postać nieznajomej, piękne rysy jej twarzy, bogaty ubiór, dziwny wdzięk w całej jej osobie rozlany, jeszcze z wieczora zwróciły jej uwagę i długo o tem z mężem

rozmawiała. Zdawało się jej, że ta nieznajoma wielkiego była rodu, i w jej życiu jakieś nadzwyczajne zaszły wypadki; ale Bertram o nic się nie pytał, dopóki sama podróżna zwierzyć się mu nie zechciała.

Ranek był piękny i pogodny; mieszkańcy wioski w świątecznym stroju zgromadzili się do kościoła. Matylda z niewymowną pociechą serca wysłuchała Mszy św., Chlebem Anielskim się zasiliła i poznawszy zacnego proboszcza tej parafii, księdza Webera, otworzyła mu duszę swoję, i odtąd ten świątobliwy kapłan stał się jej opiekunem, pomocnikiem i doradzcą we wszystkich potrzebach tułaczego jej życia.

Po nabożeństwie wielu sąsiadów zgromadziło się w domu Bertrama, który wszystkich uprzejmie powitawszy, przedstawił im podróżnych jako drogi skarb, którym go Niebo wzbogaciło, a wszyscy ci dobrzy ludzie w chrześcijańskiej prostocie tego szczęścia mu winszowali.

Gdy nadeszła chwila wspólnego posiłku, zacny proboszcz, błogosławiąc tę wiejską ucztę, rzecze do zgromadzonych:

— Mili Bracia! Oto Opatrzność przysłała wam nową siostrę i dzieciątko. Nie pytajcie, kto oni są i zkąd przychodzą; bo o-

ni jak i my są dziećmi Bożymi, i przychodzą w imię Ojca Niebieskiego, który wam chleb powszedni daje. Dzielcie się tym chlebem dziś i codzień z nieszczęśliwą ofiarą losu. Nie będzie to jałmużna, ale dobra sposobność zebrania skarbów i zasług na żywot wieczny.

— Błogosławieni, którzy przychodzą w Imię Pańskie, zawołali jednym głosem poczciwi wieśniacy. Nie sam jeden ojciec Bertram będzie miał zasługę dobrego uczynku! Każdy z nas według możności weźmie w nim udział. Jutro — nie dalej — taką chatkę jak nasze, dla przybyłej pani zbudujemy.

Przyrzeczenie to święcie spełnionem zostało. Młodzież wiejska wzięła się ochoczo do pracy, i w kilku dni hrabina Wehrda, którą wszyscy siostrą zwali, miała piękny domek we wszystkie sprzęty zaopatrzony, blizko mieszkania Bertrama, który obowiązek dostarczenia żywności przyjął na siebie.

Matylda przędła len i wełnę, szyła bieliznę i inne rzeczy, co jej na skromne utrzymanie wystarczyło; ale przedewszystkiem zajmowała się wychowaniem małego Alberta. Dopomagał jej w tem zacny ksiądz Weber, kształcąc umysł i serce młodzieńca, oświecając go światłem wiary, miłość Boga i ludzi w nim zaszczepiając. W godzinach wol-

nych od nauki Albert podzielał zabawy młodych wieśniaków, którzy go nauczyli układać sokoły do polowania, albo pod okiem Bertrama uplatał z łozy koszyki i klatki, które w poblizkiem miasteczku sprzedawał, co zwiększało dochód ubogiej rodziny.

Tak mijały miesiące i lata. Matylda od całej wsi szanowana i kochana, wszystkim przykładem cnót i pobożności świeciła. Codzień z rana w kościele Mszy św. słuchała, Chlebem Anielskim się zasilała, w tem źródle miłości, łaskę i siłę do znoszenia srogiego losu czerpała. Albert przez matkę i świątobliwego kapłana do pierwszej Komunii przygotowany, z gorącą miłości Boga do serca swego przyjął, a pomnażając się w lata i w cnoty, stał się ulubieńcem tych wszystkich wieśniaków.

Pewnego dnia, podróżując w górach z osiołkiem, koszykami i klatkami obładowanym, usłyszał jakiś jęk blizko drogi. Wnetże się zwraca w tę stronę i spostrzega leżącego pod drzewem młodego wieśniaka, który przypadkiem zraniwszy sobie nogę, tamował krew z szerokiej rany płynącą.

Albert wzruszony litością, podarł swą koszulę, obwiązał nogę chorego, nakarmił go tem, co mu na jego posiłek dano, i wsa-

dziwszy na osła zawiózł go do najbliższej wioski, gdzie wynajął dla rannego mieszkanie i oddał mu wszystkie pieniądze, jakie za sprzedane koszyki zebrał.

Wróciwszy do domu zapłakał rzewnie:

— Droga matko! rzecze do hrabiny, jestem złym synem, nic tobie dziś nie przynoszę.... wszystkom oddał biedniejszemu odemnie choremu wieśniakowi. Matylda gdy się dowiedziała o tem co zaszło, uściskała syna z czułością:

— Nie smuć się, moje dziecię, rzekła do niego; nie trzeba nigdy dobrego uczynku żałować, bo to nasienie owoce wiecznego szczęścia wydaje...

VI.

Około piętnastu mil od zamku Katzenellenbogen, na stromej skale, wznoszącej się nad gruzami dawnej wioski zniszczonej wylewem Renu, mieszkał w owym czasie pustelnik, którego wszystkie ludowe pieśni Alzacyi dotąd opiewają.

Był to sześćdziesięcioletni starzec, wspaniałej postawy, szlachetnych rysów twarzy; wejrzenie jego czasami ogniem płonące, to znowu łzami zamglone, zdradzało życie pełne walk i cierpienia. Wszystko zresztą w oso-

bie jego wskazywało piękną i wzniosłą duszę, i przejmowało uszanowaniem licznych wędrowców, jego samotnię zwiedzających.

Własnemi rękoma wykował w skale małą grotę i mchem ją pokrył. Odwieczne dęby od skwaru słońca go osłaniały, woda małego strumyka skrapiała ogródek, w którym trochę jarzyn uprawiał. Zbyt mało to na utrzymanie życia, ale poczciwi wieśniacy przyległej wioski, którzy z taką miłością Matyldę przyjęli, chętnie też potrzeby pustelnika opatrywali. Jedni mu przynosili chleba; drudzy wina, inni owoców wedle czasu..... Mąż Boży z wdzięcznością te dary przyjmował i z uboższymi się dzielił.

Wszyscy w okolicy znali go pod imieniem ojca Bruno. Nikt jego pochodzenia ani historyi życia jego nie wiedział, albowiem niktby w jego obecności niedyskretnego pytania nie śmiał uczynić; wszystko w nim uszanowanie nakazywało; ale też nikt od niego bez pociechy, bez dobrej rady lub świętego zbudowania nie odchodził.

Skała, na której pustelnik mieszkał, od strony Renu nieprzystępną była, prostopadle w spienionych nurtach rzeki się zatapiała. Z drugiej strony kręta ścieżka cierniem i chwastem zarosła, lecz zawsze zielonemi

drzewami ocieniona, do samotni pustelnika prowadziła. Dla ułatwienia komunikacyi pewien młody wieśniak z przyległej chatki służył za przewodnika podróżnym, którzy z ciekawości lub w pobożnem pragnieniu zasięgnięcia rady od męża Bożego, do jego samotni zdążali.

— Synu mój — mawiał do niego ojciec Bruno — przyprowadzaj mi więcej ubogich niż bogatych i nie żądaj żadnej nagrody za twoje usługi, a błogosławieństwo Boskie będzie z tobą.

Całkowicie oddany służbie Bożej, czcigodny starzec, z gorącą pobożnością na Mszę św. uczęszczał i karmił się Chlebem żywota, to też święta przyjaźń łączyła go z zacnym pasterzem tej parafii, księdzem Weberem, który był opiekunem i dobroczyńcą jego.

Pewnego dnia gdy ten świątobliwy kapłan odwiedzał pustelnika na samotnej skale, prosił go, żeby mu historyę życia swego opowiedział.

— Właśnie tegom żądał — odpowie ojciec Bruno; — może już rychło Bóg mię do siebie powoła, nie chciałbym zatem odejść z tej ziemi nie zwierzywszy ci tajemnicy mojej. Może Opatrzność kogo z mej rodziny w te strony sprowadzi, może kto przed tobą, oj-

cze imię moje wymówi; wtedy powiesz, żeś mnie znał, wskażesz miejsce gdzie spoczywają popioły moje, a modlitwa przychodnia przed Tron Najświętszego się wzniesie....

Otóż wiedz ojcze, że właściwe imię moje jest: Rudolf z Falkenburgu; przed dwudziestu laty byłem hrabią czeskim i posiadałem w tym kraju wielkie dobra i majętności.

Po kilku latach szczęśliwego małżeńskiego pożycia, straciłem ukochaną towarzyszkę moję, został mi tylko jedyny syn, mały Ulrych, którego zajęty służbą wojskową, nie mogąc sam wychowywać, powierzyłem opiece starego przyjaciela mego, hrabiego Molsheima.

Gdy syn mój miał lat 19, cesarz obchodząc wielkie zwycięztwo ogłosił turnieje, na które się cała szlachta niemiecka zebrała. Ulrych pomimo swej młodości odniósł świetny tryumf w tej rycerskiej zabawie; ale przeciwnik jego Hugo, człowiek dumny i okrutny, chcąc się zemścić za swe upokorzenie, z bandą awanturników napadł na zamek mój.... Pośpieszyli mi na pomoc przyjaciel z synem, ale zamek już był w oblężeniu, i wszystkie komunikacye przecięte.... Gdym jednak z wieży ujrzał chorągiew mych obrońców, zarządziłem wycieczkę. Z garstką

walecznych żołnierzy uderzyłem na nieprzyjaciela, który ścigany, upadł już z koniem na ziemię; lecz w tejże chwili zostałem włócznią w plecy ugodzony i ległem na polu bitwy bez przytomności.

Gdym takową odzyskał, ujrzałem się na pobojowisku między trupami, a zamek jaskrawą łuną pożaru w ciemnościach świecił.

Wszystko stracone! — myślałem sobie towarzysze moi broniąc mię polegli.... syn mój pewno zginął.... Boże zmiłuj się nademną!.... wspieraj kroki moje!...

Tak z modlitwą w sercu, pomimo ran i boleści począłem się dźwigać, ażeby się z tego miejsca oddalić. Nad rankiem spotkali mię pielgrzymi i wzięli ze sobą; a niosąc mię na noszach przez kilka dni, złożyli mię w szpitalu, gdzie z miłością przyjęty i opatrzony byłem.

Podczas długiej choroby mojej, wiele rozmyślał nad znikomością rzeczy doczesnych; zrozumiałem, że Pan Bóg te cierpienia na mnie dopuścił, żeby mię od świata i wszystkich ziemskich przyjemności oderwał.... jakoż postanowiłem resztę dni moich w osobności, na służbie Bożej przepędzić.

Kapelan szpitala, który był jedynym przyjacielem i powiernikiem moim, utwier-

dził mię w tym zamiarze, radził mi osiąść w górach nad Renem i suknią pustelnika mię opatrzył.

Tak zamieszkałem w tym kraju, gdzie dobroć wasza i tych poczciwych wieśniaków życie mi osładza. Byłbym zupełnie pośród was szczęśliwy, gdybym wiedział co się dzieje z synem moim; czy on żyje?.... czy nie?... gdzie się obraca?... ale ta niepewność i tęsknota srogą boleścią serce mi rozdziera...

— Ufajmy Bogu! odpowie kapłan — ściskając dłoń przyjaciela. Może opatrzność, po tylu burzach, wieczór życia waszego jasną pogodą rozweseli....

— Boże! bądź wola Twoja! — dodał czcigodny starzec, wznosząc oczy i ręce do Nieba.

VII.

Kilka lat upłynęło, i wiele odmian w chatce starego Bertrama zaszło. Liza, córka jego wyszła za mąż za Arnolda, poczciwego wieśniaka, który podróżnym drogę do pustelnika wskazywał. Wielka radość we wsi panowała, tylko serce Matyldy zawsze ciężką boleścią ściśnione pociechy nie znało.

Albert się stał dzielnym i zręcznym my-

śliwym; a widząc matkę ciągle we łzach, pewnego dnia rzecze do niej:

— Droga matko! posłuchaj mię. Dozwól mi pójść do tego niegodziwego Hugona. Jeżeli mój ojciec jest u niego w więzieniu, ja go uwolnię; jeżeli umarł, pójdę ze skargą do cesarza, a on nam sprawiedliwość wymierzy.

— Moje drogie dziecię! odpowie hrabina — czyżbyś i ty chciał mię opuścić. Cóżby się ze mną stało, gdybym i ciebie straciła?.... To śmierć dla mnie! Zresztą dokądże pójdziesz? Od tylu lat nie wiemy, co się dzieje z Hugonem, tak niegodziwy człowiek, sprawiedliwym sądem Boskim, może sam gdzie z ręki nieprzyjacielskiej zginął. A choćbyś go i znalazł, to on będzie wymagał wielkiego okupu za twego ojca, a my nic nie mamy na świecie. Co zaś do cesarza, jakże mógłbyś dojść do niego, bez opieki, bez przyjaciół w twojej ubogiej wieśniaczej sukmanie?....

— Nie bój się, droga matko, Bóg mi poddał tę myśl, Bóg mi dopomoże. Dla tego właśnie, żem ubogi i nieznany, będę chodził od zamku do zamku niby dla sprzedaży moich ptaków, wyuczonych do polowania. Wciskając się między służbę, między

żołnierzy i strażników, powie się cokolwiek o moim ojcu, i od czasu do czasu przyjdę ci oznajmić, żeby się naradzić co czynić dalej.

Gdy się czcigodny proboszcz o tem pragnieniu Alberta dowiedział:

— Idź śmiało, synu mój, rzecze do niego, Bóg sam cię posyła, Anioł Pański jak był z Tobiaszem i z tobą będzie, a miłosierdzie Boże rozjaśni się nad wami.

Zachęceni i wzmocnieni temi słowy, Matylda z synem, gdy nadszedł dzień podróży, słuchają w kościele Mszy świętej. Ciałem Chrystusowem się zasilają... a gdy dłoń kapłańska z błogosławieństwem na głowie młodzieńca spoczęła, Matylda ściskając syna ze łzami, Matce Bożej w opiekę go oddała. Odtąd samotna i zbolała, bardziej jeszcze zatapiała się w modlitwie, u stóp ołtarzy duszę swą przed Panem wylewała, wiele Mszy św. za duszę zmarłych ofiarowała, i Bóg ją pocieszył, bo nigdy nie opuszcza tych, którzy do Niego uciekają.....

.....

Albert z klatką na plecach od zamku do zamku chodził, ptaki sprzedawał; nikt się w ubogim góralu hrabiego Wehrdy nie domyślał, on się też nic o ojcu nie dowiedział, gdy pewnego dnia straszna burza go zaskoczyła.

Śnieg i deszcz lał ulewny, gwałtowny wicher drzewa wywracał... biedny młodzieniec, głodny i przemokły długo się błąkał żadnej żywej duszy nie spotykając, i o ratunek do Matki Boskiej wołał.... Królowa Niebieska nad nim się zlitowała... Albert usłyszał szczekanie psów; i mniemając, że to jest w bliskości mieszkania leśniczego, za tym głosem poszedł, i rychło się ujrzał u podnóża góry, na której zamek się wznosił.

Przybywszy do mostu, spostrzegł światło błyszczące wśród ciemności... szczekanie psów coraz głośniejsze było, i groźny głos do nich się odzywał...

Wtenczas Albert — ówczesnym zwyczajem — zanucił piosenkę, towar swój zalecającą.

— Pójdź precz z twymi ptakami! — odpowiada mu groźny głos.

— Ach! przez litość nie dajcie umrzeć z głodu biednemu podróżnemu, zawołał młodzieniec.

— Czy to czas do podróży w taką słotę?

— Burza zatrzymała mię w lesie, drogi są zalane, od kilku dni przytułku nie znajduję!

Gdy to Albert z płaczem mówił, drzwi zamkowe się otworzyły i człowiek wilczą szu-

bą odziany wprowadził go do dolnej sali; i oznajmiwszy swemu panu o kupczyku ptaków, na którego psy taki wrzask podniosły, wnetże przyszedł po Alberta.

— Pan mój chce cię zaraz widzieć, rzecze do niego; jest on nieco ostry, ale nie trzeba się go bać: hrabia Hugo Kacenellenbogen kąsa tylko tych, co mu się sprzeciwiają.

Hugo Kacenellenbogen! prześladowca ojca!.... Na to straszne imię Albert zadrżał od stóp do głowy.... ale wzniósłszy serce do Boga, uspokoił się i poszedł za odźwiernym. Rychło się znalazł w obszernej gotyckiej komnacie, oświeconej wielkim ogniem, na kominku płonącym. Hrabia Hugo siedział za stołem, na którym stał srebrny puhar i dzban reńskiego wina. Przy kominku Emma i Gizela, małżonka i córka hrabiego, zajęte robotą, ledwo spojrzały na wchodzącego młodzieńca z obawy, aby ta niewinna ciekawość nie ściągnęła grubijańskiej przygany dzikiego człowieka. Służący zatrzymał się na progu; czekając na rozkazy pańskie.

— Cóż to! rzecze Hugo, puhar wychylając, czyś ty kupczyk nocnych ptaków, że o tej porze przychodzisz nudzić nas, i sen lu-

dziom przerywać? Miałbym ochotę z twemi słowami wrzucić cię do lochu...

— Panie hrabio! rzecze Albert drżący ze strachu, żebyś tak z biednem dziecięciem postąpił, nie miałbyś nigdy spokojnej nocy...

— Ha! znać żeś bystry i śmiały. Ja to lubię czasami. Pójdź no tu, pokaż mi twoje ptaki.

Gdy hrabia jako doświadczony znawca przypatrywał się sokołom, Albert ukłonił się damom i prosił o pozwolenie zaśpiewania nadreńskiej ballady.

Emma i Gizela zwróciły nieśmiałe wejrzenie na Hugona, który ciągle zajęty ptakami, — śpiewaj kosie! mruknął niedbale.

I Albert taką piosenkę zanucił:

Wiesz ty, dziecię, matka rzecze
Do syna ze łzami,
Że twój ojciec żywot wlecze
Brzęcząc kajdanami,
Że tęsknota go zabija
Złość zwycięzcy dręczy,
I szlachetne życie mija,
A on w więzach jęczy?
Osusz łzy twoje, matko droga,
Uspokój twą duszę,
Ja przy łasce Pana Boga,
Więzy ojca skruszę.
Żal mi zdwoi moc w ramieniu,
Że zwyciężę wroga,

I ujrzysz w twem uciśnieniu
Ojca, — matko droga!

Hugo podniósł głowę i zmarszczył czoło...

— Dosyć tego śpiewaku ballady! krzyknie groźnie; chciałbym cię skąpać w rowie z twemi żabami! Dosyć tego na dzisiaj! Jutro spróbuję twych ptaków, a jeżeli nie będą lepsze od ciebie, dacie razem nurka w Renie.

To mówiąc nalał wina, wychylił jedną — i drugą czarę, rzucił się na fotel i usnął pijany....

Wówczas Emma rzekła z cicha do młodzieńca:

— Biedne dziecię! całyś zziębły i przemokły, usiądź przy ogniu; zaraz ci dadzą wieczerzę.

— Jeść z szatanem!... Krzyknie hrabia, którego głos małżonki rozbudził. Idź precz, krogulcze, niech o tobie więcej nie słyszę!

Albert nie przeląkł się; ukłonił się dobrym paniom, wziął klatkę na plecy i poszedł za służącym.

— Rozdrażniłeś go, chłopcze — rzecze mu odźwierny, człowiek gburowaty ale prawie dobry, kiedy nie pijany, jak i pan jego. Ej! bo to z naszym panem nie żartować:...

— Naprawdę, odpowie Albert, jeżeli on

ubogich pachołków tak traktuje, biada temu, kto mu w drogę wejdzie....

— I kto wpadnie w kocie pazury!... mówił dalej strażnik, przymawiając do nazwiska Katze — co po niemiecku znaczy kot. Prawda, że tu bywają straszne sceny... biedni więźniowie! ale to do mnie nic nie należy.

— Czy wielu jest? niby obojętnie zapyta Albert.

Czasami mniej, czasami więcej; jedni pierwej umierają, drudzy później; ci co odchodzą, dają miejsce nowoprzybyłym. Ale jest jeden, którego dusza jakby przykuta do ciała. Mamy go od dziewięciu lat i jeszcze żyje... Prawda, że pani Emma nim się opiekuje i wszystkiego mu dostarcza; ale to do mnie nic nie należy: — to jego szczęście!...

— Musi to być wielka figura... dodał Albert, udając obojętnego.

— Ha! czy nie myślisz wykupić go złotówką, co na ptakach zarobisz, rzecze strażnik, śmiejąc się.

— Oh! ja mówię jak ty: to do mnie nic nie należy. Kiedy kot ma szczura, może go zjeść... choćby nim był hrabia Wehrda...

— Czyżem ci powiedział to imię? zawo-

łał strażnik, z przerażeniem patrząc na młodzieńca. Znasz-li ty hrabiego Wehrda....

— Słyszałem o nim, chodząc od zamku do zamku dla sprzedaży ptaków....

— Jeżliś słyszał, to zapomnij o tem, bo to jedno słowo niepotrzebne mogłoby cię drogo kosztować....

— Mój ojciec jest tu! rzecze do siebie Albert, i serce jego zadrżało boleśnie.... westchnął do Boga prosząc o światło, o ratunek i miłosierdzie....

Strażnik ofiarował swemu gościowi kufel wina i kawał zwierzyny. Albert drżący ze wzruszenia, posilił się, podziękował Panu Bogu, i rzucił się na łoże z suchych liści, wilczą skórą pokryte.

VIII.

Nazajutrz o świcie hrabia Hugo z całym dworem wybrał się na polowanie. Albert oddał pachołkom kilka ze swych ptaków. Hugo drażniąc rzecze do niego:

— Proś Boga, żeby twoje sokoły dobrze się sprawowały: bo inaczej poszlę cię śpiewać ballady karpiom reńskim.

O wschodzie słońca strażnik, wziąwszy klucze, poszedł zanieść więźniom posiłek. Albert, który udawał śpiącego, widział go

wychodzącego drzwiczkami w ścianie ukrytemi. Wnetże się zrywa i wziąwszy klatkę na plecy, tą samą puszcza się drogą. Za drzwiczkami znajduje kręte schody, i przez podziemną galeryę dostaje się do lasu.

W Imię Boże! rzecze Albert do siebie, zamek ten zbyt pilnie strzeżony, żebym mógł odkryć miejsce cierpienia mego ojca; dosyć, iż wiem, że żyje; a czego sam nie dokażę, to mi sprawiedliwość cesarska domierzy.

Uciekał więc co prędzej z tej fortecy, biegnąc ścieżką przez zarośla, gdy z nagła spotyka się z leśniczym, który spojrzawszy na niego:

— Stój! zawołał, poznaję cię.... nie godzi się tak mijać przyjaciół....

Albert strwożony zatrzymuje się, sądząc się już odkrytym i więźniem strasznego Hugona....

— Czyś to już zapomniał o biednym chłopcu, któregoś w lesie rannego ratował, nogę mu opatrzył i pieniędzmi obdarzył? Niech ci to Bóg hojnie nagrodzi! Widzisz, że mam lepszą pamięć od ciebie.... i dziś jeszcze powtarzam, żem zawsze gotów na twoje usługi; choćby szło o skórę moją, niczego ci nie odmówię!....

Dziwna a niespodziana pomoc, którą

Opatrzność Boska biednemu młodzieńcowi przysłała!!

Albert nie wątpił o szczerości wieśniaka, i opowiedział mu o celu swej podróży do zamku Katzenellenbogen.

Teraz — mówił kończąc — szczęście moje jest w ręku twoim. Idzie tu o wybawienie mego ojca?... czy chcesz — czy możesz mi w tem dopomódz?...

— Hm! mruknął wieśniak, drapiąc sobie głowę, to ważna rzecz — bardzo ważna... nie spodziewałem się usłyszeć, coś mi powiedział. Wszakże przyrzekłem ci moje usługi, i powinienem słowa dotrzymać; a że sprawa twoja jest sprawiedliwa, Pan Bóg nam dopomoże!....

I tak się stało. Poczciwy wieśniak był narzędziem Opatrzności: i Pan Bóg, dając go Albertowi za pomocnika do wybawienia ojca, pokazał raz jeszcze, że nigdy dobry uczynek bez nagrody nie pozostanie.

W zamku Kacenellenbogen rychło spostrzeżono ucieczkę hrabiego Wehrdy: lecz że Hugo nigdy swych więźniów nie odwiedzał, Emma zatem wspólnie z rządcą fortecy postanowili o tym wypadku milczenie zachować.

Kilka tygodni tak upłynęło, gdy pe-

wnego dnia strażnik na wieży ujrzał oddział wojska pod chorągwią cesarską na zamek idącego. Dano znać o tem hrabiemu, który się bardzo tą wiadomością zdziwił i zatrwożył.... — Co znaczy to wojsko niemieckiego cesarza? myślał sobie, żadnego o tem nie miałem zawiadomienia.... Ale krótka była niepewność. Trąba na moście zabrzmiała, i w imieniu cesarza kazano hrabiemu Kacenellenbogen otworzyć bramy fortecy, oznajmiając, że w przeciwnym razie jako zdrajca powieszonym będzie.

Żołnierze Hugona, zbiegowisko awanturników, okrutni i zuchwali w napaściach na słabych i bezbronnych, struchleli w obec regularnego wojska; rzucili zatem broń i oświadczyli, że przeciw cesarzowi walczyć nie będą.

Opuszczony od swoich, Hugo widział otwierające się bramy fortecy. Wnet go uwięziono, a straż cesarska zamek objęła.

Rychło nowe wojsko na pomoc pierwszemu przybyło: na jego czele był młody Albert, który góralską sukmanę na mundur wojskowy zamienił. Najprzód rozkazał on uszanować małżonkę i córkę hrabiego; obie niewinne, obie godne czci i wdzięczności jego. Do Hugona zaś rzekł:

— Nikczemny rycerzu! mam prawo tak postąpić z tobą, jakieś ty z moim ojcem,hrabią Wehrda, się obchodził. Miałbym nawet prawo rzucić cię na pastwę karpiom reńskim, jakeś ty mnie groził; ale nie chcę nadużywać mego zwycięztwa: dla miłości Pana Boga przebaczam ci wszystkie krzywdy, jakieś mej rodzinie uczynił.... Żeby jednak bezkarność nie upoważniała innych do zbrodni, będziesz uwięziony tam, gdzie jęczał mój ojciec, dopóki szczerą poprawą na łaskę cesarza nie zasłużysz.

Emma i Gizela, upadając do stóp Alberta prosiły o przebaczenie dla winowajcy.

— Wiem, odpowiedział młodzieniec, żeście osładzały srogie cierpienia mego nieszczęśliwego ojca; nigdy o tem nie zapomnę, ale ja tu spełniam rozkazy cesarskie. Po wybawieniu mojego ojca, bojąc się, żeby znów nie wpadł w ręce okrutnego Hugona, udałem się do cesarza, prosząc o jego opiekę nad nami. Cesarz, dowiedziawszy się o strasznych klęskach całej mojej rodziny, wydał rozkazy, któreśmy w imieniu jego spełnili. Nadto dla wynagrodzenia straty dóbr naszych, darował mi zamek Kacenellenbogen; ale ja w imieniu mojego ojca i mojej matki, przywracam wam tę posiadłość, pod

jednym warunkiem, że zamek ten będzie pod strażą wojska cesarskiego, dopóki hrabia Hugo szczerą poprawą na uwolnienie nie zasłuży. Bądźcie obie jego aniołami i wyjednajcie mu u Boga prawdziwe nawrócenie.... — zadanie to zaiste godne jest wzniosłych cnót, które was zdobią.

X.

Gdy się to działo w Kacenellenbogen, ubogi podróżny, znękany cierpieniem, samotną ścieżką zdążał do plebanii księdza Webera. Gościnnie przez czcigodnego kapłana przyjęty, gdy mu powiedział, kto jest i skąd przychodzi, proboszcz uniesiony radością, znając tajemnice Matyldy i pustelnika, natychmiast na samotną skałę go prowadził.

— Wielki Boże! zawołał ojciec Bruno, słysząc nazwisko swego gościa. Tyżeś to Ulrych, syn mój, któregom śmierć opłakiwał!?... bom ja Rudolf z Falkenburgu, ubogi jak ty, wygnaniec jak ty! Ach! Jakże Bóg dobry, że nas tu jeszcze połączył!!..

Wszyscy zatem śpieszyli do Matyldy, żeby jej co rychlej tę szczęśliwą zanieść nowinę. A że sędziwy pustelnik nie mógł o zmroku ścieżki stromej skały przebywać, za-

palili wielki ogień: co było dla mieszkańców wioski umówionym znakiem, aby mu na pomoc przybyli.

Jak tylko jaskrawe płomienie wzniosły się do góry, wnetże poczciwi wieśniacy z ojcem Bertramem na czele pośpieszyli na górę z światłem, z długimi okutymi kijami... Młodzieńcy wzięli Rudolfa na ręce i rychło cały orszak do chatki Matyldy przybył.

—Córko moja! zawołał ksiądz proboszcz, Bóg ci przyprowadza twego małżonka; i Albert, który go z niewoli wybawił, rychło tu przybędzie. A nadto—teraz mogę wyjawić tajemnicę, że w tym czcigodnym pustelniku, którego wszyscy kochamy, widzisz hrabiego Rudolfa z Falkenburgu. Bóg go na pociechę waszą przy życiu zachował. Niech imię Jego święte będzie błogosławione!!

Matylda mniemała, że to sen. Serce jej o mało ze wzruszenia nie pękło... Poczciwi wieśniacy podzielali jej szczęście; wielka radość panowała we wsi; wszyscy błogosławili Boga i wielbili dziwne drogi Opatrzności.

Zaledwo słońce promienistym blaskiem oświeciło szczyty gór, gdy zabrzmiała trąbka wojskowa. Był to Albert na czele swego oddziału przybywający. Młody rycerz, którego wiejscy towarzysze pod błyszczącą zbro-

ją poznać nie mogli, upadł do stóp ukochanej matki....

Przywiózł on dekret cesarski, przywracający rodzinie Falkenburgów wszystkie zabrane posiadłości oraz nominacyę hrabiego Wehrdy na urząd Namiestnika cesarskiego: dla poskromienia w Obwodzie Reńskim złych hrabiów, różnych nadużyć się dopuszczających.

Zamek Wehrda z gruzów odbudowany, stał się w krótkim czasie śliczną i wspaniałą rezydencyą.

W zamku Kacenellenbogen obalono wieże i baszty obronne. Hrabia Hugo zmarł bez pokuty. Emma i Gizela, przerażone straszną jego śmiercią, zamek na klasztor zamieniły, aby gdzie panowała nieprawość, chwała Boża zawsze brzmiała.

Z tej historyi widzimy, jak Pan Bóg modlitwy serc pobożnych przyjmuje; jak po burzy daje spoczynek, a po łzach wesele. Gdy na nas strapienie i gorzkości dopuści, nie rozpaczajmy; ale ufajmy dobroci jego.... Módlmy się z wiarą — módlmy się z miłością; a jak dla Matyldy tak i dla nas dzień zmiłowania Pańskiego zaświeci.

O łaskawa, o litościwa, o słodka Panno Maryo!

I.

Cóżto zamyśla nasz Grzybała, że swój dom tak pięknie odnawia? Gdyby nie był żonaty, myślałabym, że zamyśla sprowadzić do chaty gospodynię. Cały przeszły tydzień mularz bielił jego dom, a teraz stolarz maluje drzwi. Sądzę, że przyjmie jakichś gości z miasta na świeże powietrze.

— Może to i prawda; panowie z miasta ciągną do nas. Świeże powietrze oddziaływa na nich jak najzdrowiej.

Tak rozmawiały ze sobą w czasie drogi z kościoła dwie kobieciny, przechodząc koło domu Grzybałowego. I nie myliły się. Grzybała rzeczywiście miał mieć w swoim domu gości z miasta. We wilię św. Jana stanęła przed domem jego bryka naładowana z tyłu wielkiemi kuframi. Cała rodzina wybiegła przed dom, aby powitać przybywających. Wszyscy mieli na sobie odzienia odświętne. Chłopcy i dziewczęta przypatrywali się przybyszom z ciekawością właściwą małym dzieciom. Gospodyni pomagała pani wysiąść i powiedziała z nieśmiałością, ale serdecznie:

— Witajcie w Imię Boże, niech ma was Pan Jezus w Swojej Swiętej opiece.

Pani z miasta wyglądała bardzo okazale. Jej córeczka licząca może 12 lat wyglądała bardzo delikatnie i blado. Przywitała się serdecznie z dziećmi i domowymi — a szczególniej z 12 letnią Kasią. W sercu tych dwóch dziewczątek powstało od pierwszego na siebie wejrzenia uczucie przyjaźni. Z poza węgłów i okien stajennych spoglądali ciekawie parobcy i dziewki, i robili różne uwagi o nowo przybyłych. Widząc jak delikatnie wygląda córeczka pani z miasta, powiedział parobek:

— Żeby choć nie powstał tak wielki wiatr, jak przeszłej nocy, boby porwał to dziewczątko.

Panie z miasta napawały się widokiem pięknej okolicy, serdecznością gospodarzy i po dłuższej pogadance udały się na spoczynek z postanowieniem,że dopiero późno powstaną zrana. Miało się jednak trochę inaczej stać. Nazajutrz po przybyciu gości z miasta przypadał w parafii, do której należał dom Grzybałów, odpust. Zaledwie z wieży kościelnej wybiła 4-ta godzina, uderzyły wszystkie dzwony, aby oznajmić parafianom uroczystość. Kiedy dzwony zamilkły, odezwały się

z pobliskiego pagórka moździerze i donośne „bum“ powtórzyło się 6 razy. Pani Malska wydała na ten huk na pół głośny okrzyk przerażenia, a jej córeczka Milcia mówiła przez sen:

— Mamciu, półka spadła.

Dnia tego pani Malska była w nienajlepszym humorze.

— Cóżto za kanonady odbywały się dziś zrana, powiedziała gniewnie do Grzybały, tak jakby nieprzyjaciel wkroczył do wsi.

—To było, proszę Wielmożnej Pani, na cześć naszego świętego Patrona,—odpowiedział Grzybała.

— Lecz co ma wspólnego Wasz Patron ze strzelaniem? Wy chłopi macie nerwy jak postronki, ale każda z nas mogłaby dostać z przestrachu konwulsyi. Gdy się to jeszcze raz powtórzy, to zaraz odjadę. Toby mi to było wytchnienie.

Pani Malska uspokoiła się dopiero wtedy, gdy ją Grzybała jak najuroczyściej zapewnił, że przez cały rok nie będą strzelali, aż znowu na Boże Ciało.

Mała Milcia czuła się w domu Grzybałów bardzo szczęśliwa. Była zawsze razem z Kasią i wnet obie dziewczynki bardzo się po-

lubiły. Z początku pani Malska krzywo na to patrzała, że jej córeczka ustawicznie towarzyszy wiejskiej dziewczynie w ogrodzie, na łące, w stajni, tak że jej sukienki dobrze czuć było odorem stajennym. Kiedy jednak przekonała się, że Kasia z całą serdecznością obchodziła się z jej Milcią, że pragnęła odgadnąć i z oczu wyczytać każde jej życzenie, nie sprzeciwiała się więcej temu, że jej córka przestawała z Kasią, a to tembardziej, gdy zobaczyła z radością, że Milcia nabywa zdrowych rumieńców.

II.

Jednego dnia przyszła Milcia do matki i powiedziała:

— Mameczko droga, mam Cię o jedną rzecz prosić — ale przyrzeknij mi, że zezwolisz na moję prośbę.

—Nie można zezwalać na prośbę, której się nie zna, — odpowiedziała pani Malska.

— Ale to, o co będę mameczkę prosiła, jest rzeczą dobrą i myśmy to powinny były już dawno zrobić.

— Cóżto takiego, — zapytała ciekawie pani Malska.

—Proszę Cię mameczko, byś mi pozwoliła pójść w niedzielę z Kasią do kościoła,

—Jakie ty masz dziwne pomysły,— odrzekła gniewnie pani Malska. Przyjechałyśmy na wieś nie na to, aby chodzić do kościoła, lecz na to, aby odetchnąć na świeżem powietrzu.

— Lecz miałybyśmy i na to dosyć czasu, a cóż sobie ludzie o nas pomyślą?

Teraz nadobre pogniewała się pani Malska.

— Ach dla Boga, ludzie i ludzie. Co cię ludzie obchodzą? Jeśli ci to Kasia nagadała, to nie przestawaj z nią więcej.

—Kasia mi tego nie nagadała, sama na to przyszłam.

—Dosyć tego,nie chcę więcej o tem słyszeć — idź do twego pokoju.

Milcia oddaliła się, ale matka wcale jej nie przekonała.

W niedzielę ani matka, ani córka nie poszły na nabożeństwo. Milcia rzekła, że to wstyd dla nich. Wtedy pani Malska zagroziła jej, że ją ukarze, gdy jeszcze o tem wspomni. Następnego dnia poszły obie na przechadzkę. Przechodziły koło bardzo porządnego domku, pod którego oknami rosły w grządkach najpiękniejsze pełne gwoździki i geranie. Pani Malska, wielka miłośniczka kwiatów,stanęła i przypatrywała się ciekawie

tym przecudnym roślinkom. Wtedy zjawiła się nagle hoża, może 18-letnia dziewczyna, przywitała bardzo uprzejmie obydwie panie i poprosiła je, aby wstąpiły do domu. Pani Malska podziękowała, ale nie chciała wejść.

— O dobra pani, niech też pani zrobi tę przyjemność mojej chorej matce i niech ją pani odwiedzi. Biedna moja matka leży już 3 lata w łóżku i nie może przyjść do zdrowia; niech też pani odwiedzi ją, a tem sprawi jej pani wielką radość.

Takiej serdecznej prośbie nie mogła się pani Malska więcej opierać. Weszła w towarzystwie dziewczynki do izby, w której leżała chora na pościeli białej jak śnieg. Izba była czyściutko utrzymana; kwitnęły i tutaj napiękniejsze kwiatki, postawione na oknach. Pani Malska podała chorej rękę i wyraziła współczucie, że tak długo leży w łóżku.

— Niech się dzieje wola Boża, odpowiedziała chora, niczego innego nie pragnę, jak żebym się zawsze zgadzała z tem, co Bóg na mnie zsyła. Ustawicznie tylko jedno myślę i powtarzam:

— Tu mię Panie siecz, tu mię Panie pal, tu nie przepuszczaj, byleś mię od Swojej świętej łaski nie oddalił i przepuścił na wieki. Najprzykrzejszą dla mnie rzeczą jest to:

gdy słyszę w niedziele i święta głos dzwonów, wzywający wiernych do kościoła, a ja nie mogę tam pójść. Nie mogę być obecną na Najświętszej Ofierze. O jakże szczęśliwi są ci, którzy zdrowi na ciele i na duszy, mogą spieszyć do domu Bożego. Przynoszą z domu Bożego do domów swoich radość, uspokojenie i szczęśliwość.

Oczy chorej zabłysły przy tych słowach jakby jakiemś nadziemskiem światłem i dwie gorące łzy spłynęły po wybladłych jej policzkach. Widok ten i to wynurzenie serdecznych pragnień chorej wzruszyły bardzo panią Malską. Była zakłopotaną, zmięszaną i zawstydzoną. Usta tej nieznanej prostodusznej kobiety wypowiedziały jej, co to za szczęście uczestniczyć w świętych tajemnicach bezkrwawej Ofiary, jaka się odprawia w kościołach ku zbawieniu wiernych.

Na parę minut popadła w zadumę; jakże pustem wydało się jej dotychczasowe życie bez modlitwy, bez uczęszczania na Msze święte, bez tego wyższego namaszczenia, które jedynie nadaje człowiekowi wartości, a duszy pociechę.

Pożegnawszy się uprzejmie z chorą i przyrzekłszy jej, że ją znowu odwiedzi, szła

w milczeniu i zamyślona ku domowi. Zdziwiona tem Milcia odezwała się do niej:

— Dlaczego mama nic nie mówi teraz, czy co może mamie nie dobrze.

— Dobrze mi jest, ale pozostaw mię w spokoju.

W najbliższą niedzielę mogła Milcia ku swojej wielkiej radości, pójść z Kasią do kościoła. Sama pani Malska jeszcze się na to nie odważyła.

Jednego dnia przyszła Milcia bardzo uradowana do swojej matki i powiedziała jej:

— Kasia nauczyła mnie czegoś.

— Czegoż to cię nauczyła Kasia? — zapytała z niedowierzaniem pani Józefa.—Pięknej modlitewki, jaką codziennie po obiedzie odmawiają. Modlitewka ta zaczyna się:

— Witaj Królowo i Matko litości....

— Zaraz się domyśliłam, że to będzie coś takiego.

— O modlitewka ta jest bardzo piękna i mama się jej także nauczy.

— Jestem za stara, aby się jej uczyć.

Pani Józefa liczyła dopiero 37 lat, ale to pewna, że czego człowiek nie chce, tego się i nie nauczy.

— Ja mamę nauczę — prosiła Milcia.

— Dajże mi spokój — odpowiedziała

pani Malska niecierpliwie. Wtedy powiedziała dziewczynka powoli i dobitnie:

— Mama się jednak tego nauczy, spodziewam się tego na pewne — i spoglądnęła na matkę pełnem znaczenia wzrokiem tak, że się ta zmięszała.

— No, no idźże sobie odemnie, ty moja mała plago i odsunęła od siebie dziewczynkę, jakby jej towarzystwo było w tej chwili nieprzyjemnem.

— Czy mogę więc tę modlitewkę codziennie odmawiać z ludźmi?

— Co się mnie dotyczy, nie robię ci trudności i ustępuję, gdyż inaczej nie miałabym spokoju od ciebie.

III.

Łany pokryte falującem zbożem zbielały od upałów lipcowego słońca i czekały na sierp.

— Jeżeli pogoda posłuży, to na przyszły tydzień rozpoczniemy żniwo żytnie — powiedział Grzybala do swojej czeladki. Wtem dwa dni później o godzinie 3-ciej po południu okazała się na zachodzie ciemna, miedziana chmura, która powoli a groźnie posuwała się.

— Nie podoba mi się ta chmura, — powiedział trwożliwie Grzybała, a i inni spoglądali trwożliwie na nią.

Za pół godziny powstał ogromny wicher — a kiedy ustał, zaczęły padać krople deszczu a z niemi ziarnka gradu. Kilka ziarn gradu uderzyło w szyby, jakby chciały zwiastować mieszkańcom:

— Poczyna się nieszczęście wasze.

— Jezus, Marya, — zajęczała Grzybalina, — dzieci módlcie się!

Wszystko rzuciło się na kolana i jedno zaczęło drżącym głosem odmawiać litanię o Boskiej Opatrzności. A na dworze szalało i huczało przez jakie 6 minut. O jakże długiemi wydawały się te minuty dla wszystkich. Nareszcie przestał grad padać. Chmury zaczęły się rozchodzić i słońce zajaśniało. Lecz cóż oświeciło? Gospodarz zwiastował smutnym głosem:

— Dzieci! ręka Boża nas nawiedziła; żyto i pszenica przepadły. W Imię Boże musimy przyjąć, co Pan Bóg na nas zesłać raczył.

Nikt nie rozpaczał, nikt nie zawodził, nikt nie bluźnił; słychać było tylko ciche łkanie dzieci i gospodyni. Pani Malska, która z bojaźni przed burzą ze swą córeczką we-

szła do izby, usłyszała tę Jobową wieść wypowiedzianą przez gospodarza.

Wtem naraz jakby głos Anioła Pocieszyciela usłyszano Kasię, która z polecenia matki zaczęła się modlić:

— Witaj Królowo i Matko litości, witaj żywocie, słodyczy i nadziejo nasza. Do Ciebie wołamy wygnani synowie Ewy, do Ciebie wzdychamy jęcząc i łzy wylewając na tym padole płaczu. Przeto więc Orędowniczko nasza, Twoje miłosierne oczy obróć na nas, a Jezusa, błogosławiony owoc żywota Twojego, po tem wygnaniu racz nam okazać. O łaskawa, o litościwa, o słodka Panno Maryo.

Z początku modliła się tylko sama Kasia, ale później przyłączyli się do niej wszyscy inni i powtarzali z serdeczną ufnością „*o łaskawa, o litościwa, o słodka Panno Maryo*“.

Pani Malska, która mimowolnie z innymi padła na kolana, czuła się głęboko wzruszona boleścią i nabożeństwem swoich gospodarzy. Zaczęła pojmować, że w cierpieniach i w nieszczęściu najdroższą rzeczą jest modlitwa i że Najśw. Niebios Królowa, Łaskawa i Litościwa, jest prawdziwą kotwicą pociechy i nadziei dla mieszkańców tej łez

doliny. Od tego dnia powzięła prawdziwy szacunek dla tych wieśniaków, znoszących nieszczęście tak pobożnie i ze zdaniem się na wolę Bożą, bez szemrania, bez skargi.

Skończył się czas pobytu na wsi dla pani Malskiej i jej córeczki. Trzeba było już odjeżdżać. Milcia i Kasia przy rozstaniu spłakały się serdecznie, ponieważ obie dziewczynki bardzo się pokochały. Kasia musiała przyrzeknąć Milci, że ją odwiedzi, jeżeli kiedyś będzie w mieście P. Pani Malska zgodziła się na to z całego serca, ponieważ i ona pokochała bardzo tę dziewczynkę wiejską dla jej poczciwego, niewinnego serca. Grzybała ubrał się w najlepszą odświętną sukmanę, zaprzągł dzielne swoje dwa siwosze i odwiózł swych gości na stacyę kolejową.

W domu Grzybałów szło wszystko dawnym, spokojnym trybem, tylko Kasi ustawicznie czegoś brakowało i trzeba było długiego czasu, zanim zapomniała o swojej miejskiej przyjaciółce.

IV.

Nastała zima, a z miesiącem styczniem zawitały do wielkiego miasta P.... różne choroby. Lekarze spieszyli od jednego cho-

rego do drugiego. I pani Malska była wielce strapiona, ponieważ Milcia zachorowała.

Lekarz przywołany powiedział matce z pewnem zakłopotaniem, że to będzie febra nerwowa. I nie omylił się. Już po kilku dniach sprawdziły się jego przypuszczenia. Milcia leżała bez przytomności i majaczyła w gorączce. Jej członki drgały kurczowo, twarzyczka była rozogniona. Straszliwe męczarnie i trwoga ogarnęły panią Józefę. Odchodziła prawie od zmysłów na samą myśl utraty swego jedynego dziecięcia, które mimo pewnych jego błędów i słabostek, bardzo a bardzo kochała. Oskarżała w swem sercu lekarza, że nie dokłada więcej starania celem uratowania jej dziecka. Śledziła trwożliwie każde jego spojrzenie i prawie się gniewała, kiedy doktor na jej zapytanie:

— Panie doktorze, co pan sądzi o słabości mej córki? —odpowiadła za każdą razą:

— Musimy czekać.

Kiedy tak biedna ta kobieta coraz bardziej wątpiła o pomocy ludzkiej, mimowolnie zwróciła myśl i serce swoje ku Temu, który zna wszelką boleść ludzi i który wtedy pomaga, kiedy pomoc ludzka ustaje. Prawie bezwiednie wzdychała często:

— O mój Boże — o mój Boże! dopomóż mi, nie dozwól, aby moja Milcia umarła.

Ale jej sumienie, które się teraz z całą siłą odzywało, mówiło jej, że modlitwa wymuszona potrzebą i postrachem groźnej chwili, nie wiele ma wartości i nie wiele znaczy u P. Boga. Czyż bowiem wołała do Pana Zastępów w czasie szczęścia; kiedy trwoga i niedola nie zawisły nad nią? Czy bowiem nie odmawiała P. Bogu od wielu lat należnej czci? Czy uczęszczała do kościoła? O nie! co najwięcej szła na Wielkanoc, kiedy to najopieszalsi do kościoła się udają. Świadomość zaniedbania religijnych obowiązków tłoczyła całą siłą i ciężkością jej umysł. Poznała całą swoją niewdzięczność dla Boga. Czuła się opuszczoną jak nigdy i niepocieszona rzuciła się na krzesło stojące w kącie tego pokoju. Zapłakała gorzko i mówiła po cichu:

— Ach jestem bardzo nieszczęśliwą matką, nawet nie mogę się spodziewać, aby P. Bóg przyjął moją modlitwę i przywrócił do zdrowia moje chore dziecko. Zbyt długo stroniłam od Niego.

Z serdeczną skruchą przypomniała sobie, że żadnem słowem nie podziękowała Bogu, że jej córkę obdarzył takiem zdrowiem

w czasie pobytu na wsi. Czyż ta choroba dziecka nie jest karą za jej niewdzięczność?

* * *

Ulicą, przy której mieszkała p. Malska szły dwie niewiasty co dopiero przybyłe z kolei, matka z córką. Były ubrane schludnie. Ciekawie rozglądały się po numerach domów, umieszczonych nad drzwiami. Nakoniec znalazły to, czego szukały.

— Jest, jest numer 26, — zawołała dziewczynka radośnie do matki.

Weszły do sieni domu i szły po schodach. — O jakże się Milcia ucieszy, kiedy nas zobaczy. Czy nie prawda, proszę mamy?

— Sądzę, że tak — odpowiedziała matka półgłosem.

Stanęły przed drzwiami, na których znajdował się bilet z napisem „Józefa Malska, wdowa po dyrektorze dóbr rządowych". Nieśmiało pociągnęła Grzybalina za dzwonek. Wnet dały się słyszeć kroki ze środka; drzwi się otwarły.

— Witajcież Grzybalina — o i Kasia jest z wami!

Tak przywitała przybyłą kucharka, która była na wsi z panią Malską.

— Czy p. Malska jest w domu? — zapytała wieśniaczka nieśmiało.

— Tak, jest w domu, ale.... przy tych słowach kucharka urwałą i rozpłakała się.

— Cóż takiego, co się stało? — zapytała przerażona Grzybalina.

— Ach nasza mała Milcia jest śmiertelnie chorą, zdaje się, że nie wyjdzie z tej słabości — i poczciwa sługa rozpłakała się na nowo.

Przybyłe były jakby piorunem rażone, a Kasia zadrżała z boleści i przerażenia. Nadeszła także i sama pani Malska do przedpokoju. Kiedy zobaczyła obydwie wieśniaczki, podała im rękę i rzekła po cichu płacząc:

— Witajcie, jakie smutne zobaczenie — o moje biedne dziecię.

Zaprowadziła obydwie do salonu i opowiedziała swoje nieszczęście.

— O jakże się Milcia cieszyła, kiedyście napisały, że wnet tu przybędzie. A terazby was nawet nie poznała. Nie poznaje nawet mnie, swojej rodzonej matki.

Kasia spuściła głowę na piersi, a łzy jak groch padały z jej oczu.

— Dobre dziecię — powiedziała pani Malska tkliwie do Kasi, kładąc rękę na głów-

kę dziewczęcia, — dziękuję ci za tę miłość, jaką masz dla mojej Milci. Nie płacz tak bardzo — jeszcze nadzieja wyzdrowienia nie jest wykluczona. Dzisiaj wedle słów lekarza nastąpi przełom choroby, ale mój Boże, jakże wypadnie. Lękam się nawet o tem myśleć.

— Pójdziemy do Matki Boskiej Bolesnej i będziemy tam modliły się na intencyę wyzdrowienia Milci.

— O idźcie, idźcie moje drogie, Bóg wam to wynagrodzi. Moja droga Kasiu, będziesz się modliła za twoją przyjaciółkę, a moją biedną córkę.

Dziewczyna łkała ukrywszy twarz swoję w rękach pani.

— O tak, będę się modliła, jak tylko będę mogła i umiała.

— A przyjdźcież tu potem, — prosiła pani Malska.

Obydwie przyrzekły, że to uczynią.

Przy jednej z ulic miasta P. stoi między domami kościółek stary i niepokaźny z niską wieżyczką. Ale za to jego wnętrze jakże miłe jest dla każdego, który tam wejdzie! W kościółku tym bowiem znajduje się łaskami słynąca statua Najśw. Maryi Panny. Przed tą cudowną statuą widzisz zawsze klę-

czących i modlących się. Mężczyzni i niewiasty, starzy i młodzi zasyłali do Matki Boskiej Bolesnej swe modły i od wczesnego poranku, aż do późnego wieczora nie brakowało nigdy modlących się. Tam to udały się Grzybalina i jej córka. Upadły z wielką pobożnością przed cudowną statuą i zaczęły się jak najserdeczniej modlić. Jedno „Zdrowaś Marya“ po drugiem płynęło im z ust i serca, a co jedno, to gorętsze. „O błogosławiona Matko Zbawiciela, spraw to najłaskawiej, aby Emilia wyzdrowiała. Wielka jest Twoja potęga, nieskończone Twoje miłosierdzie. Nazywasz się i jesteś Panną Możną, Uzdrowieniem chorych, jesteś Wspomożeniem wiernych!“

Kto się z uwagą przypatrzył tym dwom niewiastom modlącym się, pomyślał sobie: mają jakąś wielką potrzebę, kiedy się tak gorąco modlą; a to biedne dziewczę, jakże ono płacze.

Pani Malska siedziała smutna i znużona przy łóżku córeczki; wierna służąca stała w nogach i spoglądała pełna niekłamanego współczucia na chorą dziewczynkę. Głęboka cisza panowała w pokoju. Naraz chora złożyła ręce jakby do modlitwy i wyrzekła po cichu, ale wyraźnie: „O łaskawa.... o

litościwa.... o słodka Panno.... Maryo!“

Łagodny uśmiech zaigrał na jej ustach, a potem zapadła w spokojny, regularny sen. Pani Malska i służąca spoglądały z podziwieniem na siebie; w sercach obydwóch zabłysnął promyczek radosnej nadziei; pani Józefa owładnięta nieznanemi dotychczas uczuciami padła na kolana przy łożu swego dziecka i wyszeptała z płaczem „O łaskawa, o litościwa, o słodka Panno Maryo, okaż Swoje miłosierdzie“.

W kwadrans później przyszedł lekarz, popatrzył na dziecię, chwycił za puls i dłuższy czas go badał. Wreszcie zwrócił się ku matce dziecięcia i rzekł z radością:

— Łaskawa pani, gratuluję z całego serca, dziecię uratowane!

Gdy Grzybalina i Kasia po długich a gorących modlitwach wyszły z kościoła, szły zwolna i w milczeniu przez ulice; nie patrzyły wcale na piękne wystawy w oknach sklepów, serce ich bowiem było czem innem zajęte. Serce ich było przepełnione smutkiem, a przytem nękała je obawa, że usłyszą z powrotem z ust pani Malskiej złowrogą wiadomość o pogorszeniu się lub nawet i śmierci Milci. Z trwogą więc i niespokojem szły na górę po schodach. Gdy ukazały się we

drzwiach, podbiegła ku nim poczciwa kucharka i z radością oznajmiła im, że Milci znacznie się polepszyło, a lekarz zapowiada powrót do zdrowia. Na tę wiadomość rozjaśniły się smętne oblicza Grzybaliny i Kasi — a gdy stanęły przed panią Malską, ta odezwała się do nich w te słowa:

— O wy poczciwe moje przyjaciółki, cieszcie się razem ze mną i dziękujmy w spólnych modlitwach Panu Bogu, i Litościwej Panience Maryi, bo dziecię moje drogie wraca do zdrowia.

Po upływie czterech tygodni przyniósł posłaniec z poczty list do Grzybałów — a list ten był adresowany do Kasi. Natychmiast otworzono go i odczytano te słowa:

— Droga Kasiu, a kochana moja przyjaciółko!

Zlitował się Pan Bóg i Przeczysta Panienka Bogarodzica Marya nademną, bo już po ciężkiej chorobie wstałam. Mówiła mi mama, żeś się wspólnie z Twoją zacną matką o zdrowie moje gorąco modliła. Uzdrowienie moje prawie cudowne przypisuję Waszym serdecznym, a rzewnym modłom. Droga moja Kasiu! odtąd pragnę tem gorliwiej służyć Tej Matce Miłosierdzia i kochać Ją jako Jej dobre i wierne dziecię. Mama mo-

ja odmawia teraz codziennie rano i wieczór tę piękną modlitwę: „Witaj Królowo Nieba". Sama mię o to prosiła, bym Ją nauczyła tej modlitwy. Przy końcu maja, da Bóg zdrowo doczekać, przybędziemy do Was. Już się naprzód raduję tą chwilą, gdy to znowu razem zejdziemy się i bujać sobie będziemy po pięknych łąkach waszych. Cieszysz się Kasiu mojem przybyciem? Ale już muszę zakończyć list, przepraszając oraz, że tak krótki napisałam. Dłużej nie mogę pisać, bo drży mi jeszcze ręka po słabości.

Przyjm tysiączne pozdrowienia od mamy mojej i od

szczerze Cię kochającej i wdzięcznej

Milci!"

Gdy maj pięknie zakwitnął, przyjechała pani Malska z córeczką do Grzybałów na letni pobyt. Przywitanie się ich było bardzo rzewne.

— Oto mamy znowu tutaj tę, którą Bóg w miłosierdziu i łaskawości Swojej nam niejako darował, do zdrowia ją tak cudownie przywróciwszy — rzekła wzruszona pani Malska wskazując na córeczkę swą Milcię.— Niebo mi ją wróciło, dla Nieba więc ją pragnę wychować.

Do świątyni Pańskiej uczęszczała już od-

tąd nietylko w niedzielę i święta, ale nawet codziennie. Słuchała wraz z córką Mszy św. z uczciwością i z nabożeństwem zasyłając gorące modły przed tron Pana Zastępów. A ta ustawiczna a gorąca rozmowa z Panem nad Pany ubogacała duszę pani Malskiej w coraz większe cnoty chrześciańskie i do coraz większej prowadziła doskonałości.

OBRAZ MARYI.

We Francyi niedaleko miasta Villefranche, blisko pocztowej drogi, jest mała opuszczona chatka, w której przed trzydziestu laty mieszkała pewna uboga wdowa z jedynaczką córką, młodą i pobożną dzieweczką.

Obie te niewiasty żyły z jałmużny i z pracy rąk swoich. Iwonka, takie było imię dzieweczki, szyła bieliznę i najmowała się dziennie do roboty; matka jej, Maryanna, zbierała trawę dla kozy, suche kawałki drzewa w lesie, lub przędła trochę lnu, kiedy dla słoty wyjść nie mogła. Tak żyły obie szczęśliwie; pobożność osładzała im ubóstwo, bo się lepszego życia w Niebie spodziewały.

Uboga ich chatka ledwie dawała im przytułek w czterech walących się i okurzo

nych ścianach. Jedynym sprzętem w niej było spróchniałe łóżko, stolik, trzy krzesła i w kącie trochę słomy dla kozy.

Jedyną zaś ich pociechą był obraz Matki Boskiej na płótnie malowany, zawieszony na ścianie, który Maryanna przed wielu laty za małą cenę kupiła. Oblicze Maryi na tem malowidle dziwnie słodkie i nadobne, wdzięcznem wejrzeniem serca ludzkie ku sobie pociągało. Matka i córka bardzo ten obraz kochały i opiece Maryi przypisywały spokój i wszystkie błogie chwile, jakich w swem ubóstwie zażywać mogły.

Wieczorem, gdy zmrok pokrywał przyległe góry, obie klękały przed obrazem Maryi i dziękowały, że z łaski Jej nie zabrakło im powszedniego chleba. Rano, gdy pierwszy blask jutrzenki zawitał pod ich słomianą strzechę, jeszcze klękały, dziękując swej opiekunce za nocny spoczynek, i nadal się Jej opiece polecając.

Maryanna nie ograniczała swego nabożeństwa do Maryi poranną i wieczorną modlitwą. Kochała ona serdecznie Matkę Boską i czciła Ją nieustannie. Często czując się zmęczoną w pracy, przysuwała swój stołek do łóżka i złożywszy ręce, z zachwytem wpatrywała się w słodkie rysy Królowej A-

nielskiej, ukochanej Matki swojej. Co niedzielę chodziła na Mszę św. do swego parafialnego kościoła, gdzie był bardzo piękny obraz Zwiastowania Maryi, który pielgrzymi z daleka oglądać przychodzili, ale ona lepiej swój obraz lubiła. Widziała w Villefranche w katedralnym kościele cudowny obraz Świętej Rodziny, pędzla sławnego włoskiego malarza; ale jej obraz był dla niej nad wszystkie piękniejszym ... bo to było w istocie piękne malowidło, choć już przez czas nieco zniszczone. Boska Dziewica tak jasna i piękna na ciemnem tle się odbijała... a Dzieciątko Jezus z wyrazem tak zachwycającej niewinności i słodyczy było przedstawione, że serce patrzących nader miłego doznawało wzruszenia.

— Widzisz, mówiła nieraz Maryanna do córki swojej, widzisz jak Matka Boska mile na nas pogląda. Ona czuwa nad nami, to nasza Opiekunka! to Matka nasza! Widzisz, jaki Jej welon piękny! Jaki bogaty szlak Jej płaszcza! Jak Boże Dzieciątko śliczne w tym blasku chwały jaśnieje!... Iwonko, bądź zawsze do Matki Boskiej nabożną; kochaj Ją z całego serca, i we wszystkich potrzebach twoich do Niej się uciekaj. Matka Zbawiciela jest Matką naszą; a szczegól-

nie jest Ona Matką wszystkich nieszczęśliwych i cierpiących, bo sama wiele cierpiała na ziemi.

I obie—u stóp Maryi—ze łzami się ściskały; potem odnawiały bukiet kwiatków, lub wieniec bławatków, jedyną ozdobę, na którą się zdobyć mogły. Ale Matka Boska więcej była uczczoną w tej ubogiej chatce, niżeli w wielu innych bogatych kaplicach; bo łzy i modlitwy czystego serca milszemi Jej są nad wspaniałe ozdoby i najbogatsze dary.

Jednakże życie choć ubogie ale spokojne Maryanny i jej córki, rychło miało być na ciężkie próby wystawione. Pan Bóg doświadcza swoich, i często wielkie strapienia na nich zsyła. Szczęśliwy kto cierpi na tym świecie! w dniu ostatecznym większą od Pana nagrodę otrzyma. Otóż nadszedł ciężki rok: nieurodzaj był ogólny; zboża gradem zniszczone, łąki powodzią zalane, winnice zmarniały, wszystkie zbiory zginęły... Ale że zwykle po jednem nieszczęściu drugie przychodzi, po tem lecie nieurodzajnem nastąpiła tak ostra zima, że najstarsi ludzie takich mrozów nie pamiętali. Nędza była powszechna pomiędzy tymi nawet, co pierwej nieźle się mieli; a bogaci niespokojni o przy-

szłość, bojąc się by im pieniędzy nie zabrakło, wszystkie roboty przerwali.

Maryanna i jej córka, które żyjąc z dnia na dzień nigdy nic na jutro oszczędzić nie mogły, cudem Opatrzności Boskiej tę zimę przetrwały. Sprzedały swoję kozę, która tak im była potrzebną; ksiądz proboszcz przysłał im małą jałmużnę... ale jakże ta pomoc niedostateczną była! tak mało dobrodziejów, tak wiele ubogich nędzarzy!... Że nie umarły z głodu, zawdzięczały to zapewne opiece Maryi, do której zawsze nabożne były.

— Matko Boska! Opiekunko nasza! mówiła Iwonka, zachowaj moję matkę, nie daj nam umrzeć z głodu!

— Matko Boska! ucieczko nieszczęśliwych! mówiła Maryanna, nie opuszczaj mojej córki!.. ona tak młoda, nie daj jej umrzeć z nędzy!..

Nadeszła wiosna, a z nią nadzieja lepszej przyszłości ożywiła serca biednych kobiet. Iwonka znajdzie znowu robotę; stara Maryanna, biorąc się do kołowrotka, nie będzie miała rąk od zimna zdrętwiałych... Próżne nadzieje!.. Pewnego poranku, gdy Iwonka poszła nazbierać kwiatów na wianek, dla ozdobienia takowym obrazu Maryi

właściciel chatki, zamieszkiwanej przez wdowę przyszedł do niej. Był to człowiek twardy, grubijański, który się ani Boga nie lękał, ani ludzi nie wstydził.

— Cóż to! rzecze do niej, termin opłaty już upłynął, a wy za komorne nie zapłaciłyście! Złe czasy były; a że ja nie mam pieniędzy, przychodzę, żebyście mnie dług oddały.

— Panie! odpowie Maryanna, ten rok cięższym był dla nas niż dla pana: moja córka i ja często chleba nie mamy; jakżebyśmy mogły należność pańską oddać?

— A więc precz ztąd! zawołał nielitościwy człowiek. Starajcie się, żeby wam kto dla miłości Bożej dał przytułek; bo jutro wyrzucę was z mojego domu...

— Litości! panie mój! zawoła biedna niewiasta; daj mi przynajmniej parę dni czasu, żebym jaki przytułek wynaleźć mogła. Nie podobna mi wyrzucić na drogę moje łóżko, mój stary stolik i trzy krzesła.

— Twoje łóżko, stolik i krzesła!... Czyś oszalała kobieto! myślisz to z sobą zabrać? a któż mi dług zapłaci? Wszystko sprzedam i to jak najrychlej.

— Sprzedać moje łóżko! – cóż to pan mówisz?.. chcesz, żebym na słomie umarła!

— Umrzesz, gdzie sobie chcesz, to mnie nic nie obchodzi; główna rzecz dla mnie, żebym miał pieniądze. Nie wiem jeszcze czy je dostanę za te liche graty... ale spróbuję.

I gdy nieszczęśliwa wdowa chciała wziąść go za rękę, błagać litości, odepchnął ją.... i otwierając drzwi krzyknął z gniewem:

— Otom ci oznajmił co będzie; jutro rozprawisz się z urzędnikiem, który przyjdzie licytować twoje graty....

Na to ostatnie słowo Maryanna zamilkła. Ujrzała się z córką bez przytułku, bez dachu, podobną do tych ubogich żebraczek, co się po kilka gromadzą, żeby gdzie na poddaszu, na garści zimnej słomy noc przepędzić: i gdy Iwonka z piosenką na ustach z bukietem kwiatów do domu wróciła, biedna staruszka rzuciła się w jej objęcia i gorzko płakała....

Dzień długi i smutny upłynął, a Maryanna nie miała odwagi nieszczęścia swego córce opowiedzieć. Wieczorem modliła się z większą gorącością ducha, oddając się w opiekę Maryi; a gdy się w nocy ze snu obudziła, ujrzała obraz Jej w światłości.... promienie księżyca, przedzierając się przez małe okienko, oblały światłością dziewiczą postać

Maryi; co w sercu biednej kobiety rzewną ufność rozbudziło.

— O Matko Boska! zawołała z zapałem, Matko miłosierdzia! ucieczko nieszczęśliwych! nie opuszczaj nas! wysłuchaj nas! ratuj nas w tem nieszczęściu!

Po tej modlitwie Maryanna, uspokojona usnęła, w śnie zdało się jej, że Matka Boska ręce do niej wyciąga, broniąc ją i jej córkę.... że jej daje kieskę pełną złota, piękne sprzęty, nowe suknie i białego chleba.... słowem, wszystko czego biedna wdowa tak bardzo potrzebowała. Potem ujrzała właściciela swej chatki z urzędnikami przychodzącego i zerwała się bardzo wzruszona tem marzeniem, którego zakończenie obecne jej nieszczęście przypominało.

Dzień już był jasny, Iwonka od dawna wstała i szyła przy okienku.

— Dobrześ dziś spała, matko! rzecze do staruszki.

— Ach! to moja ostatnia noc w tej chacie i na tem łóżku, na którem od czterdziestu lat spoczywałam. O moja córko! od dzisiejszego dnia nie mamy przytułku; nie mamy gdzie głowy skłonić.... w polu na kamieniu spoczywać będziemy!....

I opowiedziała jej okrutne obejście się

właściciela chatki, jego srogie groźby, które się wnet ziścić miały. Gdy tego domawiała, usłyszano kroki nadchodzących ludzi. i nieubłagany wierzyciel z kilkoma policyantami się ukazał.

Zasiedli przy stole do pisania; potem powynosili sprzęty, i w obec małej gromadki ciekawych, zbiegających się na tę smutną scenę, licytacyę rozpoczęli.

Najprzód sprzedawali droższe sprzęty, lecz jakież sprzęty! mój Boże! tak nędzne i liche, że wierzyciel lękał się straty, choć było tylko dwadzieścia cztery franki długu.

Ze sprzedanych rzeczy ledwo kilkanaście franków zebrali, a nic już nie było w chatce oprócz starej obdartej książki i obrazu Matki Boskiej, przed którym Maryanna z córką drżące klęczały, przysłuchując się tej nieszczęsnej licytacyi, jak Boski Mistrz nasz z krzyża patrzał na żołnierzy, dzielących się szatami Jego.

— Czy już nic niema? zapytał urzędnik, znudzony tak lichą robotą. Poszukaj jeszcze, choćby na kilka groszy.

Wszedł policyant, wszystko obejrzał, zabrał książkę i począł obraz zdejmować, Maryanna i jej córka krzyknęły z boleścią.

— Jakto! zawołała staruszka, zabierasz

mi obraz Matki Boskiej! to moja jedyna pociecha, jedyne szczęście moje na ziemi! Córko moja, błagajmy litości!.... i gdy Iwonka upadła do nóg urzędnika, matka stanąwszy przed obrazem, broniła go słabymi rękoma.

Na te krzyki pośpiesza rozgniewany wierzyciel. Biedna kobieta bieży do niego:

— Mój panie! wszystkoś mi odebrał, a ja ci przebaczam: własność moja stała się twoją własnością, bo nie mogę długu zapłacić; ale odbierają mi jeszcze ten obraz Matki Boskiej, przed którym od czterdziestu lat się modlę. Ten obraz, który był ostatnią pociechą umierającego męża, jedyna po nim pamiątka, bom go tu w dzień ślubu mojego zawiesiła. Zlituj się, panie mój; zostaw mi ten obraz; cóż z nim zrobisz, kiedy on tak stary, jak ja, co rychło w proch się rozsypię?

Łzy przerwały jej mowę... Niegodziwy człowiek nie zważając nawet na jej prośby, porwał za obraz i poniósł na ulicę.

— Kto chce mieć to osobliwe malowidło za trzy grosze? zawołał urzędnik. Trzy grosze — nie więcej... nikt się nie odzywa?

Wtem zbliża się przez ciekawość kilku panów, z miasta nad brzegiem rzeki spacerujących. Dwie kobiety nie były obecne

przy tej profanacyi najdroższej dla nich świętości. Maryanna z boleści omdlała, a jej córka płacząc ratowała ją.

— Trzy grosze! powtórzył urzędnik; trzy grosze!.. Czy tu niema nikogo, ktoby miał nabożeństwo do Matki Boskiej? Kto da więcej?

— Sześć groszy! zawołała jedna dzieweczka na imię Marysia.

— Dziesięć franków! krzyknął jeden z miejskich panów, spojrzawszy na obraz.

Urzędnik tak był zdumiony, że zamilkł i ręce opuścił. Tak śmiesznie w tem osłupieniu wyglądał, że wszyscy śmiać się poczęli.

— Dwadzieścia franków! zawołał drugi głos z tejże kompanii.

Dwadzieścia franków! mruczał jakby w marzeniu urzędnik...

— Trzydzieści franków! zawołał pierwszy głos.

— Czterdzieści franków! dodał drugi.

— Sto franków!

— Dwieście franków!

— Pięćset franków!

— Tysiąc franków!

— Pięć tysięcy franków!

— Dziesięć tysięcy franków!

— Dwadzieścia tysięcy franków!

Nareszcie święty obraz, ze zdumieniem wszystkich, za trzydzieści tysięcy franków sprzedany został. Młody artysta, który go nabył, poznał od pierwszego wejrzenia arcydzieło Murilla. Obraz ten znajduje się obecnie w galeryi obrazów w Luwrze.

Gdy Maryanna wróciła do przytomności i gdy jej opowiedziano, co się stało, uznała w tem cudowną opiekę Matki Boskiej, Matki miłosierdzia, litościwej Patronki swojej i najczulsze składała Jej dzięki.

Można sobie wyobrazić, jak całe życie szczęśliwą była, mając z córką los zapewniony; jak serce ich przepełnione było wdzięcznością i miłością dla najczulszej Matki, dla litościwej opiekunki Maryi, która łzy ich otarła i z nędzy wybawiła.

Każdego roku w pamiętnym dniu, kiedy jej ubogie sprzęty sprzedano, Maryanna zamawiała Mszę św. i gromnicę na ołtarzu Maryi zapalała.

Kupiła ona inny obraz Wniebowzięcia Matki Boskiej, przed którym swe codzienne modlitwy i majowe nabożeństwo z wielką pobożnością odprawiała.

Tak Pan Bóg nagradza ufność i miłość

dusz pokornych, które w uciskach życia pomocy Maryi wzywają.

Matko miłosierdzia! pod Twoję obronę się uciekamy!

O Maryo! okaż się nam Matką!!!

Lampka w kościółku.

I.

Na granicy oddzielającej Francyę od Hiszpanii, niedaleko gór Pirenejskich, stał na wyniosłości zwanej *pagórkiem Maryi* kościółek, poświęcony czci Najświętszej Panny. Budowa jego była prostą, wnętrze ubrane bogato: różne srebrne wota zdobiły jego ściany. W ołtarzu jaśniał obraz Matki-Boskiej, piastującej na ręku Dzieciątko Boże; lampka płonęła dzień i noc, nigdy ona nie gasła. Lampka ta urządzona tak, iż przez okno nade drzwiami wchodowemi rzucała światło na okolicę, była przewodnicą dla wędrowca w nocy błądzącego. Droga, która szła od kilku wiosek okolicznych, wiodąc do głównego gościńca w dolinie, przechodziła tuż około kaplicy, i była wązką, stromą, a biegła ponad przepaściami. Przy kościółku tym mieszkał kapłan.

U stóp rzeczonej góry, niedaleko od kościółka, leżała osada, zamieszkała przez biednych wyrobników, żyjących ze ścinania i obróbki drzewa w lesie. Pomiędzy chatami rozrzuconemi tu w dolinie, odznaczała się jedna czystością, podobnie jak mieszkańcy pracowitością i najlepszem prowadzeniem się. Była to chata Jakóba wyrobnika. Kiedy on bywało, poszedł na robotę, Magdalena żona jego siadała do kołowrotka, a przy niej bawiła się 6cio-letnia Marynia, dziecko nad wiek swój roztropne, miłe i żywe.

Ale nagle rysy jej mienić się zaczęły; biedni rodzice nie mieli odwagi wypowiedzieć przed sobą samymi obawy, jaka ich dręczyła. Lecz gdy Marynia z każdym dniem stawała się bledszą i chudszą, i siły jej nikły widocznie, nieszczęśliwi rodzice, w utrapieniu swojem, zabrawszy dziecię jedyne, poszli do kościółka, by tu u Matki Syna Bożego wyprosić zdrowie i życie dla swej jedynaczki. W kościółku zastali kilkoro modlących się ludzi; zachodzące słońce ostatniemi promieniami swemi oświecało przez okienko wnętrze przybytku Pańskiego, cudownej łagodności rysy Matki Zbawiciela i jej Boskiego Syna.

Pieśń ogólnej modlitwy rozlegała się

naokoło; nareszcie lud się rozszedł, a zostali tylko sami Jakóbowie. Zmrok wieczorny zapadał; zapalona lampka oświecała teraz obraz ołtarza, i jak wprzód słońce, tak teraz jej miłe światełko ukazywało rysy anielskie królowej niebios, w których się przebijała miłość i słodycz nadziemka. Pod takiem wrażeniem ojciec i matka Maryni modlili się szczerze i gorąco, i uczynili ślub uroczysty dla uproszenia zdrowia córki, że taż 7 lat nosić będzie ubiór biały, jako godło ofiarowania jej najczystszej Dziewicy Swiętej, a rodzice pościć raz na tydzień przez takiż przeciąg czasu.

O! tak, mówił ojciec, córka nasza będzie czystą jak lilija biała, jak kwiat stojący przed ołtarzem, a jej cnoty błyszczeć będą, jak ta lampka, która przyświeca wędrowcowi wśród nocy. O! nie daj Matko Zbawiciela, aby ta lampka kiedy zagasnąć miała.

I odeszli do domu. Marynia rosła zdrowa i szczęśliwa; a gdy już doszła większej pojętności, sama biegała na górę do kościółka, w bielutkiej szacie, i modliła się do królowej niebios, znosząc na jej ołtarz najświeższe kwiatki z gór i dolin.

Tak upłynęło lat 6. Ale teraz w życiu ubogich mieszkańców doliny zaszła zmiana.

Dwóch jakichś ludzi nieznanych osiedliło się z rodzinami w sąsiedztwie Jakóbów. Wybudowali oni sobie mieszkania — ale mężczyzni tej nowej osady nie mieli zatrudnienia stałego, kobiety zaś próżnowały i były nieporządne. Jakaś tajemnica okrywała tych dziwnych ludzi. Po niejakim czasie matka Maryni dostrzegła wielkiej odmiany w życiu i charakterze swojego męża. Opuścił on się w pracy, a ztąd i zarobek jego się zmniejszył. Milczący i zamknięty w sobie stał się ponurym i wzdychającym; wracał do domu późno. Nareszcie pewnego razu przed wyjściem na robotę odezwał się do żony: nie czekajcie na mnie, bo dziś zapewnie bardzo późno powrócę.

Słowa te, wyrzeczone prędko i z roztargnieniem zraniły serce żony i córki.

Wieczorem więc poszły obiedwie do kościółka, aby boleść swoję złożyć u stóp Pocieszycielki strapionych. I modliły się długo a serdecznie: łzy popłynęły im z oczu i zakończyły modlitwę; Marynia zaś uczyniła przed ołtarzem Matki-Boskiej nowy ślub, o którym się później dowiemy.

Po modlitwie powróciły spokojniejsze do domu. Marynia mianowicie była wesel-

szą, lica jej płonęły jakimś niezwykłym rumieńcem szczęścia i swobody.

Nazajutrz już była godzina 8, gdy Jakób powrócił do domu. Rzucił on kiesę na stół, przy którym już żona i córka pracowały; spojrzały obie po sobie, a kiedy Jakób udał się na spoczynek i w kilka godzin potem powróciwszy, zastał kieskę nieporuszoną z miejsca:

— Co to znaczy? zapytał... boisz się Magdaleno dotknąć tych pieniędzy?

— Jakóbie, jak ich nabyłeś?

— Uczciwie, jak zawsze... cóż to, myślisz, żem je ukradł?

— Boże zachowaj, ale na twoję pracę to za duży zarobek...

— Bądź spokojna, moją żono. Należę tu do jednego interesu; i oto pierwsze zyski z niego.

Mimo chwilowego uspokojenia, biedna kobieta nie śmiała się dotknąć dzisiejszych pieniędzy. Podwoiła ona swą pracę i czynność, aby zarobić na potrzeby domowe, a grosza nie ruszyła. Jakób jednak znosił do domu coraz większe sumy, ale za to zaniedbał on obowiązków chrześcianina; a jeżeli poszedł w niedzielę do kościoła, robił to z przymusem i więcej dla oka ludzkiego.

Ale któż to byli owi nieznani ludzie, o których wspomnieliśmy? Byli to rozbójnicy i przemytnicy w górach, na granicy dwóch krajów w okolicy lesistej osiedli, aby łatwiej mogli wykonywać swe haniebne rzemiosło. Powoli poznawszy słodki i słaby charakter Jakóba, wciągnęli go do swej znajomości. Obiecywali mu następnie złote góry, aby go zjednać dla swoich celów. Biedny Jakób słuchał ich z początku obojętnie, a gdy się dowiedział o ich zamiarach, zadrżał. Ale złoczyńcy ci potrafili mu wyperswadować i przywiązać do wspólnictwa; z czasem Jakób podobnie jak oni przemycał towary, dzieląc się zyskami. Aby zaś człowieka tego związać zupełnie z sobą, złoczyńcy owi przedsięwzięli niebezpieczną wycieczkę, w której nawet przyszło do walki z uzbrojoną strażą. Władza nakazała ścisłe śledztwo, i ogłosiła znaczną nagrodę za głowę każdego z kontrabandzistów tak zuchwałych. Główni przywódcy tej ohydnej bandy grozili Jakóbowi wydaniem go władzy, jeżeliby ich na chwilę odstąpił; tym sposobem nieszczęśliwy Jakób wpadł w sidła, których nie przewidział i stał się wykonawcą i wspólnikiem ich występnych zatrudnień.

Biedny Jakób jakże się zmienił teraz!..

blady, wychudły, ponury, unikał ludzi i bał się samego siebie. To sumienie, które karze każdego przestępcę. Zrozumieli złoczyńcy to działanie sumienia i ofiarowali Jakóbowi zupełną wolność, ale pod jednym warunkiem: miał on spełnić czyn ostatni, ale straszny!

A co też robiły biedna jego żona i córka? Oto żyły w nędzy coraz większej i w smutku, który je zabijał. Chata ich dawniej tak schludna i pełna wewnątrz wesela, niszczała i głuchła. Nieszczęśliwe kobiety nie śmiałały oczu pokazać przed ludźmi: zdawało im się, że na nie spadnie pogarda i hańba, na jakie Jakób zasługiwał. Modlitwa tylko, modlitwa szczera i ze łzami połączona, przesyłana do królowej niebios, matki wszystkich sierot i cierpiących, dźwigała ich serca i dodawała mocy do znoszenia nędzy i goryczy życia!

Jak owa lampka jaśniej świeci, gdy ją ciemności otoczą, tak cnota jaśniejszą się staje wśród przeciwności, które ją ogarną. Podobnie cnoty Maryni i jej matki jaśniały żywiej, w miarę, jak ich ciała upadały pod brakiem na pierwsze potrzeby życia, a serca przed brzemieniem dolegliwości. Marynia pracowała, a niejedno westchnienie wydarło się z jej piersi, niejedna łza popłynęła z oczu

— ale wnet podniosła wzrok ku niebu, anielski uśmiech rozweselił jej rysy, a wargi drżały, jakby wymawiały jakieś tajemne słowa.

— Moje dziecko, rzekła raz matka do Maryni, czego ty płaczesz?

— O! nie chcę ja nic ukrywać przed tobą, kochana matko. Płaczę oto na myśl, że niedługo przyjdzie mi zrzucić białe moje ubranie, a przywdziać szatę światową.

— Tak, moja Maryniu! teraz musisz więcej i ciężej pracować; biała suknia nie do tego.

— O! ja się nie lękam pracy, ani się wstydzę, żem ubogą włościanką; ale raczej boję się o to, że po zdjęciu tej szaty, wystawioną będę na więcej pokus, niebezpieczeństw, i może ta królowa niebios nie będzie miała tyle łaski dla mnie.

Ale czas moja matko, abym ci powiedziała, jaki ostatni ślub uczyniłam mojej Najświętszej Opiekunce... oto ofiarowałam jej życie moje w zamian za nawrócenie biednego ojca mego!

Na te słowa matka zadrżała i odrzekła:

— O! nie powódź na pokuszenie niebios córko moja, usłyszą tam modlitwę twoję, ale nie za taką ofiarę. Wszak twoje zdrowie, mówiła dalej po chwili milczenia, dzięki Bogu

nigdy tak kwitnącem jak dzisiaj nie było...

Postanowiły przeto biedne niewiasty, iż w dzień 7 rocznicy pierwszego ślubu pójdą do kościoła, i po modlitwie Marynia zdejmie szatę białą, a przywdzieje grube ubranie włościanki.

Zobaczmyż teraz, co się dzieje z Jakóbem? Upłynął czas namysłu, który mu złoczyńcy dali do dokonania ostatniej wyprawy, poczem mieli zaraz uciekać, a cały ciężar wszystkich swoich zbrodni zrzucić na wspólnika. Biedny Jakób nie rozumiał tej zasadzki. W dniu oznaczonym do wyprawy spólnicy podpoili Jakóba trunkiem, nareszcie objawili mu cel wyprawy: złupienie i obdarcie kościółka Matki Boskiej ze wszystkich wotów, które się na ścianach znajdowały!...

Wiadomość ta jak piorun spadła na nieszczęśliwego Jakóba.

— Nie, nie! ja nie zrobię tego! zawołał głosem rozpaczy.

— Żona twoja i córka padną pod naszemi sztyletami, jeżeli tego nie dokonasz, odrzekli zimno zbrodniarze.

Mieli oni w tem widoki swoje, bo chcieli poszukiwania władzy zwrócić na Jakóba, robiąc go sprawcą tak głośnej i niesłychanej zbrodni.

Znając charakter tych ludzi, Jakób zachwiał się, sam nie był zdolnym spełnić ohydnego czynu, ale zdecydował się towarzyszyć złoczyńcom.

Chwila nagliła; już kawał nocy zeszło na sporach i groźbach. Milczący i ponurzy doszli nareszcie do drzwi kościółka. Postanowiono, iż jeden stać będzie zewnątrz, a drugi z Jakóbem wejdzie do środka. Drzwi nie były na klucz zamknięte, bo nikomu przez myśl nawet nie przeszła możność świętokradztwa. Szli ostrożnie, i drżący zatrzymali się na progu. Cisza głęboka zaległa świątynię, tak, że Jakób mógł słyszeć bicie swojego serca i głos sumienia. Lampka płonęła jasno i rozlewała miłe światełko na ołtarz i ściany. Jakób spojrzał na anielskie rysy królowej nieba; rysy te zdały mu się mówić: ach! Judaszu, chcesz więc sprzedać Syna Bożego twoim pocałunkiem? Nie mógł znieść tego Jakób, i spuścił w dół oczy. Przypomniał sobie ową chwilę, kiedy przed 7 laty czynił ślub uroczysty na intencyą swej córki; tu, w tych samych miejscach, wszystko dziś jak było, tylko on inny!

Widziadła te odpychał od siebie, dźwignął jeszcze raz oczy w górę, ujrzał lampkę; oświeciła ona otchłań jego serca — osłupiał, i

już ani obietnice, ani groźby nie były zdolne posunąć go do zbrodni. Archanioł z ognistym mieczem mniejby mu się strasznym okazał niż ten wzrok cichy, anielski, który z obrazu na niego padał.

Ale czas naglił; jeden ze złoczyńców przypomniał Jakóbowi obowiązek przyjęty:

— Dalej, dalej do dzieła!

— Nie, nie.... nie mam sił ani odwagi!

— Dalej, mówię ci.... chcesz więc ujrzeć twą córkę zabitą za powrotem do domu?.... i zgrzytnął dziko zębami.

Jakób uczuł się bezsilnym.... chwila łaski przeminęła.... szatan zwyciężył, i w rozpaczy nieszczęśliwy zawołał:

— Niech się więc spełni.... do dzieła!.... ale aby tylko ta lampka nie świeciła.... zgaście ją!

I mówiąc to, zasłonił oczy rękami, aby lampki nie widział.

— Ponieważ ci ta lampka przeszkadza, pozbądźmy się jej, zawołał towarzysz zbrodni.... mówiłeś, że srebrna, zabierz ją.... ja tymczasem wezmę lichtarze z ołtarza....

Jakób więc wyciągnął ręce rozpaczliwie, i tłumiąc dech w piersi, zagasił lampkę. W tej chwili krzyk przenikający rozległ się nazewnątrz, tak nagły, tak pełen boleści, że się

zdawał wybuchać z piersi nadziemskiej jakiej istoty; nie można było odgadnąć, zkąd tu doleciał: z góry, czy z dołu, zbliska, czy zdaleka? Był bowiem jak uderzenie piorunu krótkim.... nie powtórzył się już więcej; ale nastąpił tak zaraz po zgaszeniu lampki, żeś uczuł, iż zagaśnięcie było przyczyną, a krzyk skutkiem jego....

II.

Krzyk rozdzierający serce, który się rozległ dopiero, napełnił przestrachem złoczyńców. Najzuchwalszy z nich zadrżał i wypuścił z rąk latarkę. Pierzchnęli jeden za drugim.

— Czyś słyszał? pytał jeden drugiego.

— Słyszałem, i trudno coś podobnego drugi raz w życiu usłyszeć. Uchodźmy. I rzeczywiście przywódcy zbrodni oba uciekli, zostawiwszy samego Jakóba.

Podziękować Bogu za wyrwanie go z tej ohydnej spółki, było pierwszem jego uczuciem; ale strach zagłuszył w nim inne wrażenia, chciał on tylko uciekać z miejsca zbrodni, aby drugi raz nie usłyszeć podobnego krzyku. Instynktem pobiegł drogą wiodącą do jego chaty: zmęczonemu, zadyszanemu każdy poświst wiatru zdawał się owym stra-

sznym głosem; nie śmiał się obejrzeć, biegł jak szalony. Droga, którą się udał, była ścieszką biegnącą ponad przepaścią. Pierwsze szarawe światło dnia nadchodzącego ukazało mu jakąś dziwną postać stojącą nad przepaścią; włos miała rozrzucony, sama jak posąg skamieniała.

Jakób stanął, krew zastygła w żyłach jego; strach przecież parł go naprzód, i postanowił przez niebezpieczeństwo przebić się do chaty swojej. Pobiegł więc ku widziadłu, które mu się przedstawiło: była to Magdalena, nieszczęśliwa żona jego. Stała ona na górze, wzrok utkwiła w dno przepaści, jakby pozbawiona zmysłów i ruchu. Porwał ją za rękę, przywołał do przytomności; nie słyszała go nieszczęśliwa, nie obróciła się, patrząc ciągle na dół.

— Magdaleno, zawołał prawie szalony, na co ty tam patrzysz?

Milcząca wskazała mu palcem na jakiś przedmiot biały.

— Co to jest? zapytał, kamień, czy owieczka biała tam w dolinie?

— Tak, to nasz baranek... Marynia!

— Co mówisz nieszczęśliwa, zawołał Jakób, co ona tam robi?

Słowa te przywołały nieszczęsną matkę

do zmysłów; obróciła się, i rzucając na męża wzrok obłąkany, mówiła spokojnie:

— Zapomniałeś widać, że noc dzisiejsza jest 7 rocznicą uzdrowienia naszej córki. Rano dziś udałyśmy się obie do kościoła pomodlić się przy blasku cichej lampki do Matki utrapionych, aby potem zdjąć z Maryni białe ubranie. Biegła ona szybko przede mną, gdy nagle straciłyśmy z oczu światło lampki w kościele nieustannie płonące, a sądząc naturalnie, że już dochodzi kaplicy, córka nasza skręciła na prawo i wpadła w tę przepaść. Krzyknęłam wtedy i straciłam przytomność.

Słowa te jak miecz przeszyły serce Jakóba; zawołał z rozpaczą:

— A więc ja to zabiłem moje dziecko, bo ja zagasiłem lampę! I przy tych słowach rzucił się w dolinę po spadzistości góry, czepiając się krzaków; niedługo ujrzał się przy zimnych zwłokach swej córki, która zdawała się słodko zasypiać. Nic w niej nie było uszkodzonem; koronę z kwiatów, którą przygotowała na ołtarz Najczystszej z dziewic, jeszcze trzymała w ręku. Ojciec upadł na kolana i tak chwilę pozostał przy ciele swej córki; poczem podjął to słodkie brzemię i wyniósł na górę. Żona stała jak przybita,

w tem samem miejscu, ani jedna łza nie pociekła z jej oczu; umysł jej pochłonęła jedna myśl, iż ten straszny wypadek nie jest prostem zdarzeniem ludzkiem, ale zrządzeniem jakiemś tajemniczem.

Złożyła ona na bladem czole swej córki pocałunek zimny i rzekła:

— Pamiętasz słowa twej modlitwy, przed 7 laty wyrzeczone, gdyś błagał o życie i zdrowie Maryni?

Jakób zadrżał.

— Tak... pamiętam dobrze.

— Twoja modlitwa wysłuchaną była... ale i córka twoja miała jedną prośbę, która się spełniła: prosiła ona królowej niebios, aby ją w białem ubraniu do trumny złożono. Tyś jej do tego dopomógł. Ziściła się nadto i druga jej prośba.

— Jaka? zawołał Jakób.

— Ofiarowała ona jeszcze swoje życie, aby uprosić twoje nawrócenie.

— I wysłuchano jej, mówił ojciec, zanosząc się od płaczu.

Wtem w oknie kościółka zabłysło znowu światełko; któż lampę zapalił?

Oto na krzyk Maryni zacny kapłan wybiegł z mieszkania, i dostrzegłszy lampkę zgaszoną, sam ją zapalił, kiedy właśnie Ja-

kób i Magdalena przynieśli ciało swej córki. Zdziwionemu kapłanowi Magdalena rozpowiedziała cały wypadek, zamilczając o sprawcy jego. Nieszczęśliwi rodzice ustawili katafalk w miejscu, gdzie się Marynia modliła, i złożyli jej ciało w białej sukience. Ręce złożone trzymały krzyż w ręku, rożaniec otaczał krucyfix, a długie włosy zmarłej spadały na ramiona; korona z kwiatów przez nią ułożona, spoczęła na skroni. Około trumny klęczeli rodzice. Ale niedługo Jakób upadł do nóg kapłanowi i wylewając potoki łez, wyznał winę całą. Kapłan pocieszył go obietnicą odpuszczenia grzechu, jeżeli surową pokutę odbędzie.

Nadszedł dzień pogrzebu, dzwon kościelny obwieścił tę smutną godzinę; mieszkańcy okolicy zebrali się gromadnie. Była to dla nich wiadomość jak nieznana tak straszna. Ucieczka złoczyńców rzucała w ich rozumieniu podejrzenie na nich, a odwracała je od Jakóba obecność jego na pogrzebie. Dużo łez szczerych popłynęło.

Długo potem widziano na cmentarzu kościółka mogiłę świeżą, jeszcze zieloną, którą dzieci ubierały świeżemi kwiatami... był to grób Maryi!.. W kilka lat później dwa groby wykopano obok tej mogiły; były to

groby Jakóba i Magdaleny. Jakób pragnął, aby po śmierci jego poznano jego cnoty, szczęście, zbrodnie, karę, pokutę i przebaczenie, oraz jak się one cudownie wiązały z historyą lampki w kościołku!

Przed obrazem Matki Bolesnej.

Wczesny wieczór dnia zimowego zapada zwolna i zmrok ogarnia sklepienie katedry. Słońce raz jeszcze wychyla się z po za chmury, ostatnie jego promienie padają przez zachodnie okna kościoła i zalewają świątynię nagle potokiem światła. Na ciemnej kamiennej posadzce błyszczą barwy różnokolorowej szyby, czerwony piaskowiec filarów oblewa purpura, cała świątynia kąpie się w jakimś zaczarowanym blasku. Na tem tle świetlanem występują postacie Świętych Pańskich i aż do zakątków kaplic, zwykle w tajemniczym półcieniu pogrążonych, wciska się promień słoneczny. Błyszcząc, biegnie po ołtarzach, obrzucając je światłem, opromienia zapylone grobowce z kamiennymi rycerzami w zbroi, książętami Kościoła z mitrą i pastorałem

Niedługo atoli trwają te blaski, słońce chowa się za chmury, wspaniałość blasków ginie, pogrążając się w ciemności, a cienie wieczorne pokrywają zwolna mury świątyni. Na dworze wicher huczy i deszcz leje i nikt, którego konieczna do tego nie zmusza potrzeba, nie opuszcza domu.

W kościele ciemno i pusto. Tylko tam, przed ołtarzem Matki Bolesnej płoną jeszcze światła i klęczy kilka dusz pobożnych. Jestto starożytny obraz, wykonany ręką nieznanego mistrza. Matka Boża trzyma na swem łonie ciało swego Syna i blade oblicze Matki Bolesnej zdaje się mówić: „Czy jest boleść, jako boleść moja?“

Przed tym obrazem nie gaszą nigdy światła a we wszystkich porach roku wonieją kwiaty, przynoszone przez pobożnych. Tysiące wiernych przychodzą tutaj złożyć u stóp Maryi swe cierpienia i żaden — jak opowiadają — nie odszedł od obrazu bez pociechy w sercu.

W tej chwili pani jakaś przestępuje próg kościoła. Jedwabna, powłoczysta suknia szeleści na kamiennych płytach, wysmukłą postać okrywa ciepłe futro, a pod czarnym welonem kryje się blada twarz wielkiej piękności. Przed obrazem Matki Boskiej stawia

świecę, odbiera z rąk służącego, który postępuje za nią, wspaniały bukiet z białych róż, składa go na ołtarzu i ukląkłszy na stopniach ołtarza, niebawem zatapia się w głębokiej modlitwie.

Długo klęczy, modląc się, gdy wtem słaby jęk, jak żałosna skarga, odbija się o jej uszy. Wspomnienie przenika ją — nie tak dawno słyszała i ona taki jęk bolesny. Widzi nagle w duchu rozpaloną twarzyczkę i dwie maleńkie rączki, wyciągające się ku niej: „Pomóż, matuniu droga... pomóż!“ Ale ona nie może pomódz, biedna matka! Musi patrzeć, jak jej ukochana dziecina musi walczyć ze śmiercią i w własnej piersi po tysiąckroć odczuwa w straszliwej męczarni boleści, jakie dziecko cierpi.

Co sztuka lekarska zdolną jest uczynić, co pomoc ludzka dać może, wszystko się dzieje — ale to tylko pomnaża męczarnie dzieciny. Jej oczy szukają z trwogą wzroku matki i znów błagają drgające usteczka: „O mamo, ratuj!... Ty mi zawsze pomagałaś... o dopomóż mi teraz!“

Błaganie dziecka rozdziera serce matki. „Ja ci nie mogę dopomódz, biedne moje dziecko! Chętnie cierpiałabym za ciebie, gdybym tylko mogła!“

Trzyma w objęciach drżące dziecię: coraz trudniej wydobywa się oddech z jego piersi, potem nagle błękitne cienie pokrywają drobną buzię — dreszcz wstrząsa ciałkiem i główka opada ciężko na łono matki... walka skończona!

Potem leży w trumience — przybrane w kwiaty, samo, jak przedwcześnie złamany kwiatek, z wieńcem z róż białych na złotych kędziorach, z niebiańskim spokojem na drobnej twarzyczce. W obec majestatu śmierci zamilkła dzika namiętność bólu.

Dwa dni i dwie noce i nie rusza się matka od trumienki dziecka, cicha i bez łez. Ale wreszcie zamyka się wieko trumny, kryjąc przed jej okiem na zawsze, co miała najdroższe na ziemi. Siły ją opuszczają i ogarnia ją rozpacz boleści.

Mijają długie miesiące, które jej się wydają latami. Nauczyła się znowu zwolna znosić to życie, lecz uważa je raczej za oczekiwanie godziny wyzwolenia z męki.

Tak myśli ta młoda pani, przebywając raz jeszcze całą gorycz swego bólu, pochylona przed obrazem Matki Bolesnej.

Obficie łzy jej spływają, spadając kroplami przez palce, któremi zasłania oczy. Cichy jęk, który poprzednio wzbudził w niej

wszystkie te wspomnienia, odzywa się znowu. Czy ona śni? Czy to rzeczywistość? Ogląda się. Obok niej na posadzce klęczy kobieta w łachmanach i trzyma na ręku kwilące dziecko.

Wytworna, w futro i jedwabie ubrana pani spogląda z zazdrością na kobietę w łachmanach, która tuli do łona rozkwilone dziecię i stara się ukoić płacz jego pocałunkami. „Szczęśliwa!—myśli sobie—jakże ona z tą dzieciną na ręku jest bogatą w porównaniu ze mną!“

Biedaczka spogląda w tejże samej chwili ku pięknej pani i ona także myśli sobie: „Szczęśliwa! Ona nie wie, co to nędza! Jakże ona bogata w porównaniu ze mną!“

Spojrzenia obydwóch kokiet spotykają się. Obie zbolałe, obie przejęte smutkiem, obie szukają pomocy u Matki Bolesnej — ale jakże inaczej! Piękna pani czyta całe dzieje nędzy i ubóstwa na bladych licach nieszczęśliwej, sięga do kieszeni i podaje jej jałmużnę. Zdziwiona, nieomal przerażona, spogląda biedaczka — to złoty pieniądz, który trzyma w ręku, taki wielki, jakiego nigdy jeszcze nie miała! Sądzi, że to pomyłka i chce go zwrócić, lecz pani daje znak, aby go zatrzymała — przecież go dała tak chętnie!

Nieszczęśliwa chwyta rękę swej dobrodziejki i przejęta wdzięcznością pokrywa ją pocałunkami, a gdy następnie zwraca ku niej oczy, w jej spojrzeniu maluje się cały świat szczęścia, nadziei i nowo rozbudzonej ochoty do życia. Przy pomocy tego hojnego daru może zaspokoić głód dziecka i zabezpieczyć wiele dni od nędzy. Składa ręce i przesyła do Matki Bolesnej modlitwę dziękczynną, tak gorącą, jakiej usta jej jeszcze nie wymówiły w życiu. Teraz wie dobrze, że to prawda, co mówią, iż jeszcze nikt z tego miejsca nie odszedł — niepocieszony.

Piękna pani pierwszy raz od śmierci dziecka uczuwa jakby radość jakąś w sercu swojem. Czuje ona, że jej życie nie jest przecież tak ogołconem z wszelkiej radości. Może przecież szerzyć błogosławieństwo i uszczęśliwiać innych, a jej szlachetne serce znajdzie w dobroczynności balsam na rany swoje.

Na dworze wicher huczy i deszcz leje: świszcząc, tłucze się w około i wstrząsa szybami, światła migocą, kwiaty woń roznoszą, a modlący się klęczą przed obrazem Matki Bolesnej.

Pani schyla głowę i modli się po raz pierwszy z poddaniem się woli Bożej, która

ją pozbawiła najdroższego dziecięcia, a na jej zbolałą duszę zstępuje cichy spokój. I ona znalazła pociechę przed obrazem Matki Bolesnej, *Mater dolorosa!*

Królowo Korony Polskiej,

módl się za nami!

Było to w roku 1655.

W owym czasie zasiadał na tronie polskim król Jan Kazimierz, jeden z najnieszczęśliwszych monarchów, jacy u nas panowali, gdyż za żadnego poprzedniego króla, tyle co za niego, klęsk na ojczyznę naszą nie uderzało, a on nie posiadał ani dostatecznej siły, ani możności, do skutecznego ich odparcia.

Owóż w tych latach, król szwedzki, Karol Gustaw, najechał z wojskami swemi kraj polski. Przyszedł on do nas z daleka aż z za morza, i posuwając się w zwycięskim marszu, zdobywał jeden po drugim obszar ziemi, zajął Warszawę i Kraków, a posiadając w swem ręku klucze od tych dwóch najgłów-

niejszych miast w Polsce, czuł się już panem całej naszej ojczyzny.

Ciężko uginali się biedni ziemianie pod brzemieniem nakładanych na nich przez Szweda podatków i kwaterunków, wzdychali i jęczeli, ale u kogoż szukać im było opieki, kiedy nawet sam król polski, w obawie przed szwedzką potęgą, wyjechał z kraju i schronił się na Szlązku.

A tymczasem Szwedzi na dobre gospodarowali w Polsce. Nie było prawie zakątka w kraju naszym, nie było warowniejszego grodu, któryby nie znajdował się w ich rękach.

Jedna tylko miejscowość urągała dotąd szwedzkiej potędze; jeden tylko maleńki szmat ziemi opierał się zwycięsko ich nawale i wierny Janowi Kazimierzowi, nie chciał uznać nad sobą zwierzchnictwa nowego pana.

Miejscem tem była Częstochowa.

Od trzech już wtedy wieków, znajdował się w jej murach cudowny obraz Boga-rodzicy, według podania malowany ręką św. Łukasza, a szeroko po całej Polsce cudami słynący. Stróżami tego świętego miejsca byli Ojcowie Paulini, których przeorem podówczas był ksiądz Augustyn Kordecki, na-

tchniony kapłan i nieustraszony obrońca częstochowskiego klasztoru.

I ten to kawałek ziemi, zaledwie tyle zajmujący obszaru, co dzisiejsze obejście gospodarskie; i ten to szczupły i niepokaźny klasztorek, który po świeżej, zeszłorocznej pogorzeli, dopiero co z nowego wznosić się i obwarowywać poczynał; i ten to "kurnik", jak go szydząc przezywali Szwedzi: śmiał urągać zwycięzkiej ich chwale, kusił się o stawianie oporu wojskom Karola Gustawa.

A jednak tak było w istocie!

Ksiądz Kordecki ani na chwilę nie zadrżał przed szwedzką potęgą. Czuł on, że tu nie z ziemską, lecz niebieską siłą będą mieli nieprzyjaciele do czynienia, i w tej to nadprzyrodzonej władzy, w tej cudownej opiece Najświętszej Maryi Panny, która z tego miejsca królowała całemu polskiemu narodowi, położył on swoją ufność i ugruntował wiarę w zwycięstwo.

Zamknięty w lichej forteczce klasztornej z siedmdziesięciu zakonnikami i garstką rycerstwa polskiego, które schroniło się tutaj wraz ze swemi rodzinami przed szwedzką nawałą, odpierał on skutecznie ich szturmy i ataki i zmusił w końcu Szwedów do sromotnej rejterady.

Stokroć liczniejsi Szwedzi, pod wodzą jednego z najsławniejszych podówczas wojowników, jenerała Milera, osiwiałego w bojach i przywykłego do zwycięstw żołnierza, daremnie raz po razu ponawiali swoje napady. Zawsze zwycięsko wytrzymywał je Kordecki, który zarówno osobistem swojem poświęceniem i przykładem, jakoteż gorącą wiarą w cudowną opiekę Maryi, zagrzewał do wytrwania oblężonych. — Podczas boju widziano go zawsze, jak z krzyżem w ręku stał nieustraszony na wałach, narażając się na ogień nieprzyjaciół; głos jego, acz nie żołnierza, w wielkiem był poszanowaniu u wszystkich, i znaczył więcej wśród rycerstwa polskiego, niż komenda wojskowa, bo był niby głosem owych biblijnych patryarchów, co to wodzami i kapłanami bywali zarazem.

Do niego to słusznie odnieśćby można słowa jednego z naszych współczesnych poetów, które tu przytaczam:

Wśród szczęku mieczów i świstu kuli,
Chodził w szeregach w pełnej otusze;
Ranionych mężów w ramiona tuli,
A konających poleca dusze;
A choć mu wystrzał nad głową palnie,
Słowa nie przerwie, nie zmruży oka,
Pełniąc swój urząd sakramentalnie,
Czuł nad swą głową tarczę z wysoka;
A tyle męstwa, co w jego twarzy,
Może się nigdy widzieć nie zdarzy.

Nie jest bynajmniej zamiarem naszym, przechodzić szczegółowo historyi tych bohaterskich zapasów. Dość gdy powiemy, że cała starszyzna szwedzka i ów jenerał Miler, odstępując po dwudziestomiesięcznych a daremnych trudach od oblegania klasztoru, oświadczyli: "że nie ludzką siłą zdobyć go można, bo nie ludzka moc go broni".

Podczas najgwałtowniejszych szturmów, kiedy ciężkie działa szwedzkie miotały bezustanku ogniste swoje pociski na skołatane mury Częstochowy, widziano nad oblężonymi, unoszącą się w powietrzu postać Bogarodzicy, w błękitnym płaszczu, otoczoną promieniami, jak rozciągała ręce po nad klasztorem i błogosławiła walecznym jego obrońcom.

Cudowne też rzeczy działy się wtedy. W chwili ostrzeliwania klasztoru przez wojsko szwedzkie, odbijały się ich kule od murów forteczki i kładły trupem wdzierających się na nie nieprzyjaciół.

Innym razem, granat rzucony z obozu szwedzkiego wpadł przez okno do celi, w której znajdowała się matka z dziecięciem na ręku. Przestraszona niewiasta widokiem ognistej kuli, zdołała zaledwie krzyknąć: "Ratuj Matko Boska!" i oto granat posłuszny

skinieniu Bożej Rodzicielki zgasł natychmiast, nie czyniąc nikomu żadnej szkody.

A kiedy znowu, siostrzeniec Milera, wyprawiając huczną biesiadę w obozie szwedzkim, bluźnił przy kielichu Najświętszej Pannie i natrząsał się z wiary, jaką pokładają w Jej obronie oblężeni; kula armatnia wypuszczona w tę porę z klasztoru, wpadła do jego namiotu, roztrzaskała stół biesiadniczy w drobne kawałki a bluźniercę trupem położyła. Działo się to w oczach samego jenerała Milera, który acz zahartowany na widok śmierci żołnierz, zemdlał z przerażenia.

To też po skończonem oblężeniu i po ustąpieniu Szwedów, powszechne było przekonanie, że tylko cudowna opieka Przeczystej Boga-rodzicy ochroniła Częstochowę od zniszczenia przez wrogów, i nielnaczej też o tem mniemał pobożny ksiądz Kordecki, który był przecież duszą i kierownikiem całej tej obrony.

Kiedy mu bowiem, w jakiś czas po tych wydarzeniach, król i senatorzy winszowali zwycięzkiej obrony Częstochowy, pokorny sługa boży odpowiedział:

— Nie moja to sprawa, Najjaśniejszy Panie, ale Najświętszej Panny, królowej naszej.

Wkrótce po tem oblężeniu, powrócił do

Polski Jan Kazimierz i świadom cudownej opieki jakiej od Najświętszej Panny doświadczył kraj skołatany, postanowił koronę Polską złożyć w hołdzie u stóp Boga-rodzicy i obwołać *Maryą Łaskawą* szczególną patronką i królową Polski.

Uroczysty ten akt, został dopełniony we Lwowie 1656 roku.

W dniu 1 kwietnia, który był dniem oktawy Zwiastowania Najświętszej Panny, w obliczu króla i senatu, w obecności całego świeckiego i zakonnego duchowieństwa i przy niezliczonym udziale bractw, cechów i wszelkiego stanu ludzi, odprawiał w kościele archikatedralnym Lwowskim, ksiądz Piotr Vido, wysłannik papieski w Polsce, uroczystę wotywę.

Przed wielkim ołtarzem, siedział na wspaniałym tronie król Jan Kazimierz, i w skupieniu ducha zasyłał modły do Królowej Nieba, aby i teraz jeszcze, wśród nowych klęsk wojennych które na jego ojczyznę uderzały, wzięła w opiekę kraj nieszczęśliwy i osłoniła go przemożną swoją protekcyą.

Po skończonej wotywie, powstał król z tronu, a zbliżywszy się do stopni ołtarza, upadł na ostatnim schodzie na oba kolana i w głos modlić się począł:

„Wielka Boga-człowieka matko, Panno Najświętsza,—woła nabrzmiałym od łez głosem:—ja, Jan Kazimierz, z Twojego Syna króla królów a pana mojego i z Twojej łaski król, do najświętszych nóg Twoich upadłszy, Ciebie dziś na patronkę moją i królową królestw moich obieram: tudzież mnie samego i królestwo moje polskie, księstwo litewskie, ruskie, pruskie, mazowieckie, żmudzkie, inflandzkie, czernichowskie, wojska obojga narodów i lud wszystek, Twojej szczególniejszej opiece i obronie polecam, Twojej pomocy i litości, w tym nieszczęśliwym i niepewnym królestwa mojego stanie, przeciwko nieprzyjaciołom świętego kościoła rzymskiego, pokornie wzywam. A że mnie wielkie dobrodziejstwa Twoje, z całym narodem moim do nowego i gorętszego służenia Tobie pobudzają, przyrzekam na potem, i swojem i rad moich, także też ludu wszystkiego imieniem, Tobie i Synowi Twojemu a Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi, że cześć i chwałę Twoję wszędzie i po całem królestwie mojem wszystkiemi sposobami pomnażać będę. Obiecuję nadto i ślubuję, że jeżeli za wielowładną przyczyną Twoją i wielkiem Syna Twojego miłosierdziem, z nieprzyjaciół, a osobliwie Szwedów, zawsze na

Twoję i Syna Twego cześć powstających, i zupełnie ją zniszczyć usiłujących — zwycięztwo otrzymam: u stolicy apostolskiej starać się będę, aby na podziękowanie za to Tobie i Synowi Twojemu, dzień ten corocznie, w potomne wieki, uroczyście święcony i obchodzony był, oraz z biskupami królestwa mojego starania przyłożę, aby to co obiecuję, od ludu mojego wykonane było. Że zaś z wielkim serca mojego żalem oczywiście widzę, iż dla płaczu i uciśnienia ludu wiejskiego stanu, Syn Twój, sprawiedliwy sędzia, plagi powietrza, wojen i innych przez te siedm lat nieszczęśliwości na królestwo moje przypuszcza: obiecuję odtąd i ślubuję, że pilnego ze wszystkiemi stanami po ustanowionym pokoju starania przyłożę, abym to złe oddalił i lud królestwa mojego od uciemiężenia i niesłusznych ciężarów oswobodził. Spraw to, o! najmiłosierniejsza Pani i Królowo, abyś jako mnie i stanom moim, tę do uczynienia takowych ślubów chęć dała, tak też u Syna Twojego łaskęś nam do ich wykonania uprosiła. Amen".

Skończył król, a łzy jak grad spadały po dostojnem jego obliczu. Płakał lud wszystek, mężowie i niewiasty, starce i dzieci. Wzruszenie malowało się niemniej w oku

poważnego wysłannika papieskiego jak i w sędziwej twarzy biskupa Trzebickiego, przytomnego temu aktowi i asystującego przy nabożeństwie, który ze skruchą złożywszy ręce, łączył modlitwy swoje do próśb błagalnych króla.

Niedługo też czekał naród na ziszczenie nadziei które położył w łasce i wsparciu Najświętszej Maryi Panny. Siódmego dnia po owem ślubowaniu królewskiem, nadeszła radosna wieść do Lwowa, że wojska szwedzkie pobite zostały na głowę pod Zborowem....

I znowu jak przed tygodniem, w tymże samym kościele, śpiewał ks. Vido solenną wotywę. Przed ołtarzem zajął miejsce król i senatorowie; ale już na niczyjem obliczu nie było widać łez, niczyjej piersi nie rozrywało ciężkie westchnienie: owszem, za przewodem nuncyusza śpiewał król i licznie zgromadzeni pobożni, tryumfalny hymn: „Te Deum laudamus".

Nie dziw, że po tem zwycięztwie, które było widomym znakiem łaski Najświętszej Panny nad biednym naszym narodem, wieść o obwołaniu Matki Boskiej królową polską, lotem błyskawicy rozbiegła się po kraju.

Cieszył się cały naród, cieszył się zwła-

szcza biedny lud wiejski, że będzie miał odtąd w niebie orędowniczkę spraw swoich, pocieszycielkę w strapieniu, ucieczkę i pomoc w każdem nieszczęściu, że teraz, z większą śmiałością będzie mógł do Niej się zwracać jako do polskiej królowy, której sam król ślubował: *iż widząc z żalem swoim uciśnienie ludu wiejskiego, odtąd pilnego dołoży starania, aby ten lud od uciemiężenia i niesłusznych ciężarów uwolnić.* A ślub taki, uczyniony przez majestat ziemski majestatowi niebieskiemu, to więcej niż przyrzeczenie, to przysięga!

Różne wieści krążyły po kraju o tym uroczystym akcie. Podawane z ust do ust, powtarzane przez odpustowych pielgrzymów i wędrownych lirników, urastały w niebywałe jakieś legendy, których osnowę stanowi następujące z owych czasów podanie.

Według tego podania, akt dopiero co przytoczony, miał się odbyć nie we Lwowie jak było w istocie, ale przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Król i senat rzeczypospolitej, obwołali Najświętszą Pannę Królową polską. Ale Marya korony przyjąć nie chciała.

—Na co mi więcej koron—mówiła — skoro posiadam niebieską.

Markotno zrobiło się Polakom, że Najświętsza Panienka wzgardziła ich prośbami, ale z tem wszystkiem nie dali za wygraną. Zwrócili się oni do Chrystusa Pana, kornie Go prosząc, aby się wstawił za nimi do Matki swojej i jako poseł od całego narodu polskiego ofiarował Jej ziemski majestat. Chrystus, życzliwy zawsze naszemu narodowi, który walczył niejednokrotnie za chwałę Jego imienia, nie uchylił się od tego zadania i przyjął na siebie pośrednictwo w tej sprawie.

Skoro Najświętsza Panna ujrzała zbliżającego się najmilszego syna swego, wnet sercem kochającej matki odgadła wszystko, i nie mogąc nic Mu odmówić, zgodziła się chętnie na królowanie polskiemu narodowi.

Śliczne to podanie, od dwustu kilkudziesięciu już lat powtarzane w kraju naszym, jakże wymownie świadczy o pobożności ówczesnych ludzi. Zaiste! pełne prostoty i wiary musiały być ich serca, skoro czuły się w prawie wybierać Boga na posła, a matkę Jego na włodarkę kraju.

Niechże i nadal święci się wśród nas ta błogosławiona wiara i prostota. Niechże i nadal Boża Rodzicielka raczy tak chętnie słuchać próśb naszych, jak to czyniła przed wieki, gdy zwracając się do Niej czy to w o-

gólnych ojczyzny naszej potrzebach, czy w osobistych troskach, błagać Ją będziemy słowami ojców naszych: „Królowo korony polskiej, módl się za nami!“.

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C096413684